

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymyńskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:  
kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.  
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

*Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

### Pamięci Adama Mickiewicza

w 50-tą rocznicę Jego zgonu.



„Witaj jutrzeńko swobody,  
Zbawienia za tobą słońce!”

W dniu 26-ym Listopada 1855-go r., w Konstantynopolu, na dalekiej obczyźnie zamilkł na wieki Ten, którego każde słowo było miłością dla Ojczyzny, każde uderzenie serca — tęsknotą za wolnością, odczuciem bólów i męki „milionu.” On zamilkł, lecz któż określić zdoła, ile z niewyczerpanej krynicy Jego ducha wpłynęło w nas, wpływa i wiecznie wpływać będzie.

Nigdy chyba nie umielibyśmy odczuć głębiej i w większym ducha skupieniu święcić pamiątki życia i śmierci Wieszcza, ukochanego od ludu całego, aniżeli to czynimy dzisiaj, wstrząśnięci do głębin dusz naszych wypadkami ostatniej doby, wyciągający ręce do światła, pragnący, aby to „zbawienia słońce,” kryjące się za „jutrzeńką swobody,” weszło nareszcie, walczący o wolność słowem, wysiłkiem ekonomicznym i krwią...

Dzisiaj pod wpływem przełomowej chwili, musi rodzić się pytanie, jakie były społeczne i polityczne ideały Mickiewicza, dokąd dążył, czego pragnął dla Polski i dla całej ludzkości. Szukamy w spuściźnie po Jego potężnym duchu prawdy i światła, któreby nam rozjaśniło mroki niepewności i oczekiwań, albowiem On sam o sobie powiedział:

„Ja przyszłości brudne obłoki  
Rozcinam moją zrenicą, jak mieczem,”

Powiedział to, i miał do tego prawo.

Pół wieku z górą upłynęło od Jego ostatnich rad, wskazań i proroctw, a po takim czasie najmędrsze słowa pokrywają się za zwyczaj pleśnią, jasnowidzenia stają się zaszuszonemi kwiatami historii, tymczasem myśli i uczucia Mickiewicza kwitną świeże i barwne, jak gdyby dopiero wczoraj się rozwinęły. Nawet prądy, które za dni naszych tak szeroko się rozlały, zda się, przeszły przez Jego duszę. On je dostrzegł zaledwie w pierwszych wytryskach, lecz przewidział ich bieg i rzucił im błogosławieństwo na przyszłość. I dlatego patrzymy na zjawisko dziwne, widzimy, jak przed Wielkim Cieniem klękają wszystkie żywioły społeczne, wszyscy, począwszy od tych, którzy chcą „bryłę świata nowemi pełnąć tory,” — aż do tych, którzy z bohaterem „Dziadów” szepcą:

„Puch czarny, puch miękki pod głowę podłożmy,  
„Spiewajmy a cicho: nie trwóżmy, nie trwóżmy...”

Mickiewicz, była to postać świetlana, bez skazy, był On jednym z owych sprawiedliwych, wybranych, którzy znają tylko drogę prostą, jasną i taką ukazują innym. Wcześniej bardzo zapoznał się z niewolą, wcześniej widział matki płaczące i młodzież pędzoną daleko od stron ojczystych, — widział rządy Nowosilcowa w Wilnie i cierpienia Ojczyzny, a cierpienia te na wieki w głąb duszy jego zapadły.

Wileński student z r. 1820-go, dojrzewał w atmosferze przesiąkniętej żalobą po utraczonej wolności i fanatyczną miłością dla ojczyzny. Wspomnienia walk bohaterskich były bliskie, pamięć wielkich ludzi i czynów była

silna, żyli jeszcze żołnierze z szeregów Kościuszki, żyli posłowie z ostatnich sejmów, żyli tacy, którzy pamiętali rzeź Pragi... Płakano za tymi, których utraciono, a ukojenie znajdowano w nadziejach i pragnieniach gorących, nie dziw więc, że tak z ławy uniwersyteckiej, czy z posiedzeń Filaretów, jak ze śledztw i z więziennej celi, Mickiewicz wynosił mocne, niepożyte, wielkie uczucie dla Ojczyzny. Mnogie bóle i smutki przeżył nasz Wieszczen genialny, duszę Jego szarpały mnogie niepewności i tęsknice, uśmiechały się doń szczęśliwość i pokusa, lecz po nad wszystko, po nad wszelakie uczucia, unosiła się miłość dla Ojczyzny, dla Polski i nieodłączne z nią pragnienie wolności.

Nawet w chwilach największego duchowego przygnębienia odczuwał tętna wolności w głębokich tajnikach duszy narodu, a podczas swej tułaczki na obczyźnie, właściwie w samym onej tułaczki początku, poeta chciał emigracji polskiej nadać jakoby moralno-polityczny kanon, w którym wolność była jednym z artykułów wiary. W „Księgach pielgrzymstwa,” pisanych właśnie podczas pobytu na obczyźnie — Mickiewicz zaznacza: „Wolność i w Europie rozszerzała się powoli.” I mówi, że: „Sprawa Polski na nowo wywołana będzie przed sąd świata nie inaczej, tylko głosem jakiejś powszechnej, politycznej burzy, — przeciw wszystkim rządóm, — i „o wojnę powszechną za wolność ludów” modli się w swej „Litaniu pielgrzymiej.”

Z duszą, pełną marzeń o missyach humanitarnych, marzeń o podjęciu przez wychodźstwo polskie roli, której ono nigdy odegrać

nie byłoby w możności i w sile, Mickiewicz staje się rewolucjonistą i czeka nowego wiatru w Europie, który zmiecie monarchie samowładne. Mimo to jednak dalekim był od szowinizmu wyznawanych pojęć, nie żywił i nie głosił nienawiści ku innym szeregom.

Propaganda Towianizmu i utrata katedry literatur słowiańskich w „Collège de France” przerzuciły Mickiewicza do działalności na polu dziennikarskim. W dzienniku „Tribune de peuples” pisywał artykuły, w których rozwijał własne swe poglądy na socjalizm. Artykuły owe pisane były z nadzwyczajną prostotą i wielką siłą przekonania, mianem zaś „socjalizmu” poeta obejmował wszystkich, którzy sympatyzowali z rewolucją i postępem. „Uzucie socjalizmu, — określał Wieszczy nieśmiertelny, — to polot ducha ku bardziej błogiemu istnieniu, nie indywidualnemu, lecz wspólnemu, solidarnemu.”

W polityce Mickiewicz nie wyznawał żadnych, szematycznie określonych, doktryn ani systematycznie sformułowanych prawnospołecznych teorii, takie w spuściznie po Nim nie pozostały, ale był demokratą z duszy i z serca, co nawet w „Panu Tadeuszu,” w poemacie szlacheckim, jasno wyczuć można, był apostołem swobody, ideologiem ducha rewolucyjnego, opartego na chrześcijaństwie.

Schyłek życia poświęcił sprawie wolności. W imię jej utworzył w 1848 r. legjon polski we Włoszech, w imię jej podążył w 1855 r., podczas wojny Krymskiej, do pułków polskich na Wschodzie i wtedy to, w Konstantynopolu, wybiła dla tego serca, przepelnionego miłością, ostatnia godzina.

Jak w widmie słonecznym, tak w tym wielkim Duchu, łączyły się i zlewały razem barwne promienie jasne. Jest to szczególną właściwością i tajemnicą niektórych umysłów i duchów tak wysoko wzniesionych ponad światem, że dla nich zanikają różnice jego i sprzeczności. Atoli jak nie wszystkie wiel-

kie umysły stapiać w sobie umieją barwy różne, tak i nie wszystkie czasy posiadają moc uwydatnienia tych barw z jednaką siłą w swoich tęczęch.

W tęczy naszego czasu najpotężniej błyszczą barwa, która odpowiada idei dobra pracującego ludu, a która w umyśle Mickiewicza wystąpiła najpóźniej. Kiedy On, wśród niesnasków emigracyjnych, pisał arcydzieło nad arcydziełami europejskimi, „Pana Tadeusza,” buchało jeszcze wysokim płomieniem ognisko szlacheckie, które dziś dymi się tylko, albowiem ogień z duszy ludu powstały, pali się potężnie, roztopia nowe pierwiastki a fala ich otwiera sobie i żłobi nowe łożyska. Fala ta jeszcze rozpalona i rwąca, lecz gdy się rozleje szeroko, uspokoi się i ostygnie, stworzy grunt urodzajny, na którym powstaną bujne i płodne winnice.

Adam zamierającymi oczyma widział zaledwie pierwsze łuny nowego ogniska, lecz gdyby dziś żył, ognisko to stałoby się jedną barwą więcej, stopioną w jego świetlanej duszy, u ogniska tego zapaliłby pochodnię swego geniuszu.

Zofia Seidlerowa.



## 26. XI. 1905.



Byłeś wieszczem z największych pomiędzy  
[geniusze,  
Których blask świetny dzieje ludów opromie-  
[nia;

Byłeś duszą narodu, boś wziął w swoją duszę  
„Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia.”  
Pieśń jest perłą narodu — tyś był ową perłą,  
W wieszczu-obywatela muszli nieskażonej;  
Dzierżąc natchnień pochodnię i twórczości  
[berło,  
„Kochałeś za miliony, cierpiąc za miliony!...”

Na ścianach szarych jakieś słowa czytasz,  
Jakiś krzyk dźwięczy we wspomnień popiele.  
Tajone szepty, północne rozmowy,  
Z łez, krwi i pieśni sznurek różańcowy.

W pół pacholece, w pół młodzieńcze twarze  
Zmartwychpowstają w poety widzeniu,  
Karabin brzęknął: Chodzą czujne strażę,  
Gród Gedymina w trwożnym spi milczeniu,  
A w jednej celi światelko pobłyska —  
Wnijdźmy: Stań, duchu, i patrz na nich zblizka.

Frejend na flecte smętną piosnkę dzwoni,  
A tamci gwarzą o przebytej dobie, —  
Rwiesz się, o, serce! To oni! to oni!  
To ci, co zorzę kupowali tobie,

Choć ogromną miłością serce twoje tęchło,  
Miałeś dla krzywdzicieli piorun potępienia,  
I uczyłeś twój naród, że „zniszczenia dzieło  
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło two-  
[rzenia...”

Gdy upadały dusze — tyś nie dał wśród męki  
Łamać rąk, lecz do czynu zapalałeś gromy;  
Gdy karłały porywy, brałeś spiż do ręki,  
I grzmiałeś hymn ogromny wzlotów nad po-  
[ziomy!...”

I każdą krzywdę naszą zaniósłeś przed Boga,  
I oplakałeś smutek i zgoiłeś bliznę,  
I rozpacz odpędzając od naszego proga,  
Ocaliłeś nam dusze, zbawiłeś Ojczyznę...  
Więc po stuleciu próby, walki i obrony,  
Stoi dziś niezłamana długich cierpień krzyżem,  
Z wyciągniętymi w przyszłość silnemi ramio-  
[ny

I klęka w kornym holdzie przed twym świę-  
[tym spiżem;  
I dumna tętnem życia, co wre w niej wokoło,  
Mocą ducha, którego jarzmo nie ugięło,  
Woła: „Rozraduj, mistrzu, zasmucone czoło,  
Bo żyje i żyć będzie — a to twoje dzieło!...”

Artur Gliszczyński.



TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

## S A D B O Ż Y.

OBRAZEK Z XII-go STULECIA.



(Ciąg dalszy).

Obok ciotki stał Roger de Montfort z nagim mieczem w dłoni.

Do niego to zbliżył się giermek. Przykłęknąwszy na jedno kolano, pochylił głowę nisko.

A pan Roger uderzył go trzykrotnie brzeszczotem po ramieniu, mówiąc wolno:

Podwójnem serca płacąc za nią, biciem  
I krwią swą płacąc, i szczęściem, i życiem!

Tam w kącie celi marmurowo blade,  
Ówiana w fale włosów hebanowe,  
Oczu gwiazdami patrzy twarz Konrada  
I dalekości widzi zaświatowe,  
On z kamratami za tej celi progiem,  
Ale duch gada oko w oko z Bogiem!

I wstał! i błysły w źrenicach pioruny  
I padły słowa nieśmiertelnej mocy,  
Jako spiżowe grały one struny  
W okropnych mrokach narodowej nocy, —  
Do serc, do duchów, jako orzeł wpada  
Improwizacja płomienna Konrada!

## ADAM.

W PIĘCDZIESIĘCIOLECIE ŚMIERCI.



I.

Pieśń Filaretów skróś stulecia płynie  
I wstrząsa duchy, jak niegdyś wstrząsała,  
Co nieśmiertelne zaiste nie ginie,  
Ale na wieki barwą życia pała,  
Odwiedza trumny i grobowe lochy  
I rzuca iskry na zetlałe prochy.

A oto widzę ponury kurytarz  
I karmelickich zakonników cele,

— W imię Boga, świętego Jerzego i świętego Michała pasuję cię na rycerza.

Poczem wziął z rąk jednego z giermków hełm i nakrył nim głowę wyzwolonego.

Nowy rycerz pochylił się jeszcze niżej, do samych stóp hrabiny. Dotknawszy ustami rąbka jej sukni, odezwał się:

— Wdzięczny wychowaniec dziękuje Waszej Szlachetności za wszystkie dobrodziejstwa, jakich doznał na waszym dworze. Nie tylko rozumnie karcąca, dobrą mistrzynią byliście mi, pani hrabino, ale także życzliwą, pobłażliwą matką i serce moje czci w Waszej dostojnej osobie nie tylko dobrą mistrzynią, lecz miłuje także pobłażliwą matkę. Do tej matki zanoszę prośbę pokorną. Pozwólcie mi przyozdobić hełm waszym znakiem, nie mam bowiem dotąd nikogo, kogobym chciał ucieńczyć sławą mojego oręża.

Dobrotliwy uśmiech złagodził surowy wyraz ust hrabiny.

Zdejmując z głowy wdowi welon, rzekła:

— Nie moim latom zimowym przyjmować hołdy walecznych rycerzów i dwornych trubadurów. Niemy grób wzywa mnie już, przypominając mi nicość zaszczytów tej ziemi. Lecz niech ci welon mój służy dopóty, dopóki go inna, młodsza, bielsza ręka nie zastąpi znakiem pożądańszym. Bądź zawsze tak uczciwym, szlachetnym i mężnym, jak byłeś na moim dworze, a opieka świętego Jerzego pójdzie twoimi śladami.

Pocałowawszy rycerza w usta, obwiązała hrabina jego hełm swoim welonem.

— Idź, mój rycerzu — mówiła głosem serdecznym, — idź tam, gdzie chciwość, zuchwałość i lisie tchórzostwo urągają bezbronnej słabości i niech miecz twój będzie wszędzie i zawsze, na każdym miejscu, w każdej godzinie posłusznym narzędziem sprawiedliwości niebieskiego króla. Byłeś chlubą mego dworu, bądź chlubą rycerstwa normandzkiego. Tak ci Boże dopomóż, moje dziecko! Amen.

Zagrały znów trąby. Zwartem kołem otoczyli panowie i panie młodego rycerza, ścisnąc jego ręce, życząc mu powodzenia na drodze sławy, na którą miał wstąpić.

Z dworu, z dziedzińca wpadała do kaplicy przez drzwi otwarte burza okrzyków. I tłum witał radośnie nowego obrońcę wiary, mściciela niewinnie cierpiących.

Przed kaplicą czekał na rycerza wspaniały ogier bojowy, dar hrabiny. Dwóch giermków trzymało go za uzdę, mocując się z nim doremnie. Młody koń, nieprzywykły do siodła i stalowej kropieży, spłoszony wrzawą, szarpał się, wyrwał, bił kopytami. Nie pomogło nic giermkom, że się rozkraczyli, przysiadłszy prawie na piętach. Rumak, silniejszy od nich, włócił ich po ziemi, ku wielkiej radości mieszczan.

— Z tym dyablem nie da sobie nawet pan wice-hrabia Roger rady — odezwał się jeden z giermków. — Żeby tylko nie było jakiego nieszczęścia!

Wice-hrabia Roger de Montfort wychodził właśnie z kaplicy, prowadząc z trubadurem pod ręce wyzwolonego giermka.

Spostrzegłszy oszalałego konia, zbliżył się do niego, ujął go ruchem szybkim krótko, przy samym pysku za cugle i rozkazał giermkom, aby odstąpili.

Ogier chrapnął, rozwarł nozdrza, błysnął krwawymi ślepiami i chciał podrzucić łbem. Ale kark odmówił mu posłuszeństwa, jak gdyby nagle zeszytywniał. Bił tylnymi nogami, miotał zadem, nogi jednak przednie ani drgnęły, jakby się w bruk dziedzińca zapadły.

Zdumione niezwykłą siłą, która jego niesforność obezwładniła, zwróciło zwierzę dziki wzrok na swego pogromcę. Rycerz stał swobodnie, nie rozstawiwszy nawet nóg, ściągając łeb ogiera coraz niżej.

Przez kilka minut wpatrywali się w siebie rycerz i koń — pierwszy spokojnie, chłodno, rozkazująco, drugi z gniewem, z wściekłością. Rycerz milczał, koń parsknął, chrapał, usiłując oswobodzić łeb z kleszczy.

Po jakimś czasie stawały się ruchy ogiera coraz cichsze, aż ustały zupełnie. Gniew, wściekłość ustąpiły w jego ślepiach miejsca przerażonemu osłupieniu.

Wówczas zaczął go wice-hrabia głaskać po karku lewą ręką, nie odejmując prawej od pyska, i mówił coś do niego głosem stłumionym.

Koń strzygł uszami, słuchał, drząc na całym ciele, jak liść osiki.

Teraz oparł się nagle pan Roger lewą ręką na jego kłębie i skoczył na siodło.

Rumak, uczuwszy na grzbiecie jeźdźca, wspiął się, stanął dęba, lecz te same kleszcze,

które złamały jego opór, uśmierzyły jego ruchy gwałtowne.

Równo, spokojnie, jak gdyby chodził od wielu lat pod siodłem, postępował szpalerem, utworzonym z ludzkich ciał.

Śmiałego jeźdźca nie witały głośne oklaski i okrzyki. Szły za nim uwielbiające spojrzenia niewiast i owiewał go szept podziwu mężów.

W tej ciszy słychać było wyraźnie rozpaczliwy głos kobiecy. Ktoś, powstrzymywany widocznie przez straż, pilnującą głównej bramy, domagał się wstępu na dziedzińiec:

— Ratunku, prowadźcie mnie do pana wice-hrabiego de Montfort! — wołał głos rozpaczliwy.

— Zobaczcie, kto potrzebuje mojej pomocy — rozkazał pan Roger.

Jeden z giermków przedarł się przez tłum do głównej bramy.

— Jakaś stara niewiasta, zdaje się, że zebraczką, żąda, by ją stawiono przed oblicze Waszej Szlachetności — oznajmił giermek, kiedy wrócił.

— Uczynicie zadość jej woli! Dla prawego rycerza niema wielkich i małych, możnych i ubogich; są tylko nieszczęśliwi.

Szpalerem, który się utworzył w tłumie na wezwanie pacholców, zbliżała się, biegła stara kobieta, odziana w łachmany, pokryta kurzem ulicy. Kiedy stanęła przed wice-hrabią, wyciągnęła do niego obie ręce ruchem błagalnym.

— Ratujcie moją Azali, panią Azalais! — prosiła głosem zdyszczanym, — zniesławiają ją zamordują... spieszcie się!..

I przylgnęła ustami do trzewika wice-hrabiego, całując go.

On, pan Roger, zeskokczywszy z konia, przypatrywał się przez chwilę starej żebraczce uważnie. Potem odezwał się zdziwiony:

— Tiburga? Zkąd na tobie te łachmany?

— Napadli mnie w drodze rabusie, Gastona, pazia pani Azalais, zabili, konie i pieniądze zabrali; pieszo i o żebraczym chlebie do włokłam się do zamku Montfort. Ale nie pytajcie... opowiem wszystko później... teraz czytajcie i spieszcie się... za trzy tygodnie...

Szybko rozerwał wice-hrabia jedwabną, różową wstążkę, zamykającą zwój pergaminu. Kiedy przeczytał list pani de Gruissan, za-

## II.

Tam na Wawelu, kędy spią królowie,  
Wygasłych Piastów i Jagiełłów plemię,  
Tam na Wawelu, gdzie skroń na wezgłowie  
Krwawe oparłszy, książe Józef drzemie,  
Tam, gdzie Naczelnik spi, opiekun ludu, —  
Król duchów czeka dnia i laski cudu!

Spiący rycerze w koronie i zbroi  
O jakimś wielkiem przebudzeniu marzą,  
A on położył dłoń na lutni swojej,  
Skróć wieka trumny patrzy bladą twarzą  
I w tej mogilnej przeraźliwej ciszy  
Każdy ból czuje i jęk każdy słyszy.

W dalekiej Francji źle spiącemu było  
Pod obcem niebem ku Polsce poglądać,  
Cudze tam drzewa szumią nad mogiłą,  
Znajomej piosnki od owych nie żadać,  
Ani tam swojskie zaszczebioce ptasze —  
Nie nasze wszystko... nie nasze... nie nasze!..

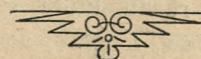
A tu dokoła królowie i woje,  
Jako drogiego przyjęły go brata,  
I nieraz groźnie szczęką stare zbroje,  
Gdy krwawe echo doleci ze świata,  
I nieraz z trumien mocne głosy biją:  
„Miej nas w opiece, Przczysta Maryjo!“

A pieśń-królowna po ziemicy chodzi,  
Pod tym ojczystym jasnym nieb błękitem,

Drózkami stąpa i miedzami brodzi  
„Pól malowanych zbożem rozmaitem“  
I, niosąc słodkie ukojeń uśmiechy,  
Wstępuje cicho pod słomiane strzechy.

Z kmiećmi gawędzi i młodzieży spiewa,  
Na serca kładnie gorejące dłonie  
I zziębłe serce miłością ogrzewa  
I złote ziarna na siew prószy w łonie,  
I dalej idzie w świat, błogosławiona...  
I wschodzi zorza... i noc czarna kona...

Or—Ot.



myślił się, zmarszczył brwi, jak gdyby coś obliczał. Obliczał w istocie tygodnie, jakie go oddzielały od wtorku po Zielonych Świątkach. Było ich już nie wiele. Przeto zwrócił się do trubadura i rzekł:

— Zastąp mnie przy biesiadzie, wzywam mnie bowiem obowiązek rycerski, który nie znosi ani godziny zwłoki.

— O panią Azalais idzie? — zapytał pan Pons de Capdeuil.

— Za winę moją stawiono ją przed sąd.

— I osądzono?

— Złożono wyrok w ręce Boga.

— Sąd Boży! Jadę z tobą, Rogerze, bo mogę ci być potrzebny.

— Jeżeli Wasze Szlachetności pozwolą — odezwał się świeżo pasowany rycerz, — to przyłączę się do ich orszaku. Pierwsza wyprawa rycerska w służbie tak dostojnych i sławnych mężów ozdobi lepiej moją młodą godność, aniżeli wieńce, zdobyte na turniejach. Nie odmawiajcie mi tej łaski, panie wicehrabio!

— Waszej młodej godności należy się jeszcze biesiada i wesoła zabawa, panie de Paimpont — odrzekł wicehrabia, — a my musimy ruszyć natychmiast w drogę, jeżeli mamy zdążyć na sąd Boży do Narbonne.

— Nie biesiadować i bawić się przysięgałem, lecz kruszyć kopię w sprawie pokrzywdzonych.

Życzliwie spojrział wicehrabia na młodego rycerza, kiedy mówił:

— Niech się wola wasza stanie. Pokłońcie się jeszcze raz pani hrabinie i bądźcie gotowi do drogi! A ty, Tiburgo, zostaniesz tu, w Rennes, i będziesz na mnie cierpliwie czekała; nie byłoby Boga na niebie, gdybym nie miał wrócić.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Mikołaj Rej z Nagłowic.

(W pięćsetną rocznicę urodzin).



(Ciąg dalszy).

U Reja nie spotykamy ani jednego pomysłu oryginalnego. Wszystkie prawie jego utwory oparte są na dziełach pisarzy obcych. Czytając je, miał przypuszczalnie chwalebny zamiar przyswoić je ojczyściej literaturze, lecz powierzchowna znajomość łaciny stawała mu na przeszkodzie w urzeczywistnieniu planu: przyswajał więc sobie pomysł, ale oblekał go w szatę własnych myśli, uczuć i wyobrażeń, dzieło w pomysł obce, stawało się płodem swojskiej kultury.

Tak wziął początek: „Żywot Józefa,” dialogowana opowieść znanego podania Biblijnego, w opracowaniu Holendra, Kornela Crocusa. Rej przeistoczył postacie Starego Testamentu w ludzi sobie współczesnych; kazał mu mówić językiem dosadnym, miejscami prostaczym, a nawet wzywać imienia Matki Bożkiej, i dał rzecz nie pozbawioną w niektórych scenach życia i ruchu, która, gdyby była wystawioną na scenie, mogłaby mocno zająć widzów i słuchaczy, przywykłych do podzi-

wiania dyalogów i misteryów, odgrywanych przez żaki po kościołach.

W taki sam sposób powstał „Wizerunek poczciwego człowieka,” osnuty na utworze Palingena. Młodzieniec żądny wiedzy i prawdy, wędruje do filozofów i mędrców starożytnych, aby się oświecić. A ponieważ wybrał sobie dwunastu z nich, więc i cały utwór, znacznej objętości, podzielony został na dwanaście oddziałów, a każdy nazwany od imienia danego filozofa. Czy Rej czytał dzieła owych filozofów? Trudno orzec, lecz nawet gdyby tak było, to napróżnobyśmy szukali jakiegokolwiek śladu zrozumienia ich zasad i teorii w tem, co prawią młodzieńcowi. Prawią mu przedewszystkiem rzeczy bardzo rozsądne, bardzo dobre, bardzo poczciwe, tylko nie mające nic wspólnego z subtelnością oderwanych pojęć filozoficznych; udzielają mu rad i wskazówek takich, jakie każdy doświadczony człowiek może dawać młodzieńcowi, to jest bardzo rozumnych, niezmiernie praktycznych i ściśle obwarowanych moralnością katechizmową. Prawią mu: o znikomości rzeczy ludzkich, o potrzebie umiarkowania, o konieczności panowania nad sobą, wystrzegania się wszystkich grzechów głównych, miarkowania chuci rozumem, bo, jak poucza młodzieńca Plato, Bóg opatrzył zwierzęta szponami i dziobem, aby się miały czem bronić, a zaś:

Temu zwierzęciu, co człowiekiem zowają,  
Jedno dał nagie ciało, na niem włosy z głową.  
Ale przedsię w tę głowę taką sprawę włożył,  
Iż ją wszystkie zwierzęta na świecie zatrwożył.

Wiec tedy jeżeli człowiek chce się od zwierząt różnić, niechże „tą prawdą” rządzi wszystkie swoje postęпки i czyny, a błogi żywot przypadnie mu, jako nagroda, w udziale.

Pojęcie tego, co stanowi szczęście człowieka, nie przechodzi u Reja miary ogólnej i przeciętnej; jest to: dobre imię u ludzi, zwane terminem ówczesnym „dobrą sławą.” Bo jak Rej poucza w swoim Zwierciadle:

Szlachec bez sławy  
Jest osioł prawy.

Następnie zaś życie spokojne, wygodne, dostatnie, w otoczeniu dobrej żony i przyjaciół.

Te nauki powtarza przy każdej sposobności i sam, gdy mówi bezpośrednio od siebie, i w formie allegoryi, gdy każe zwierzętom przemawiać w swoim „Zwierzyńcu.”

A osobliwe to dziełko ten „Zwierzyniec!” Czego tu niema! Najpierw jest forma niezmiernie krępująca, bo każdy utwór nie przechodzi miary ośmiu wierszy. Następnie w pierwszej części, osnutej na Apoptegmatach Erazma Rotterdamskiego i Baptysty Fulgosa, jest charakterystyka znakomitych mężów i kobiet starożytności, z morałem ukrytym, na dnie dla czytelnika: czytaj i ucz się z ich czynów! Druga część charakterystyka, i to już oryginalna Rejowa, znakomitych osobistości i rodów Polskich, szlacheckich, a z tej się dowiadujemy, że: Sycygniołwscy „wyniosłych zawždy myśli byli” Konarsey „zawždy z przyrodzenia mieli coś trefnego.” Zarebowie, z nich „dobrej myśli bywał każdy.”

Czarno, jako kureczęta rodzili się zawždy.

Chwali osoby, ale w następnej części, to jest trzeciej, biczem satyry chłoszcze ludzi, piastujących urzędy i godności publiczne.

Jaka to sprawiedliwość, jaka gorliwość o dobro Rzeczypospolitej, której obrońcami i stróżami być powinni, pozał się Boże! Nie żałuje przymówek księżom i dygnitarzom kościelnym, zwyczajnym plebanom i mnichom, biskupom i opatom; nie przepuszcza obrządkom kościoła, do którego przestał należeć, a czyni to jak zwykle w tych razach, w sposób dosadny i brutalny.

Czwarta część jest bezładną mieszaniną utworów najróżnorodniejszej treści. Znajdują się tu krótkie charakterystyki allegorycznych postaci, jak: Przygody, Niedostatku, Czasu, Pomsty, Skromności, Dobrej żony, ale najbardziej charakterystyczne są te, w których występują zwierzęta. Są to pierwsze apologi, bajki w literaturze naszej; nie oryginalne, przerabiane z bajkopisarzy starożytnych, ale przerobione tak, że zatracają zupełnie cechę pochodzenia obcego.

Wszystko zaś, co Rej w ciągu zawodu swego autorskiego odczuł, przemyślał, wypowiedział, — wszystko to złożył, niby w skarbcu dla przekazania potomności, w swoim dziele: „Zwierciadlo, czyli żywot poczciwego człowieka.” I nie wiem doprawdy, czy umieliśmy odtworzyć sobie życie przodków naszych z XVI-go wieku bez tego zwierciadła Rejowego. Dziwna to książka, jeżelibyśmy ją chcieli mierzyć skalą wymagań odpowiednią do wykształcenia i pojęć współczesnych. Najpierw bylibyśmy w ogromnym kłopotcie, do jakiego rodzaju utworu ją zaliczyć, gdyż wszystkie streszcza w sobie. Autor wypowiada się w niej cały, jako satyryk, moralista, pedagog i bystry obserwator życia i ludzi. Więcej stokroć Rej, pomimo, że stworzył dzieło mnóstwo, że tłómaczył i przyswoił piśmiennictwu dużo utworów obcych, nie był literatem, był „prostym Polakiem” i „poczciwym człowiekiem,” który brał pióro w rękę, aby pouczyć, oświecić swoich ziomków, lecz poziomem swego wykształcenia i pojęć nie przewyższał zbytnio swego ogółu; tak, jak Rej, czuł i myślał każdy mniej więcej, „poćciwy Polak” owego wieku. I ztąd właśnie największa wartość książki Reja. W niej odbija się rzeczywiście, jak w zwierciadle ówczesne społeczeństwo szlacheckie ze wszystkimi swymi wadami i zaletami, z całym zasobem swoich pojęć, uczuć i myśli, przekonań i wyobrażeń. Książka dzieli się na dwie części: pierwsza, wierszowana ma dla nas mniejsze znaczenie, za to druga, znana właściwie jako „Żywot poćciwego człowieka,” jest dla nas niewyczerpaną skarbnicą. W pierwszej części wypowiada Rej wierszami mnóstwo uwag, myśli i zdań, bardzo zaonych, bardzo poczciwych i obywatelskich, nie folgując przytem swojej żyłce satyrycznej. Troska go i przejmuje frasunkiem stan kraju, czuje silnie, że:

Rzeczpospolita, ta jest prawa matka,  
A przez złe syny zginie do ostatka.

Nie baczmy nic, że złe sąsiady grożą nam zarówno od Wschodu, jak od Zachodu:

By gęsi, trawę skubiąc, na ziemię patrzymy,  
A z kąd orzeł przypaść ma, o tem nie myślimy.

A no, to więc zły orzeł, co przypadnie z góry,  
Zaniesie czasem gąskę pospołu i z pióry.  
By na nas nie gorszego, jedno gdzie siedzimy,  
Między takimi orły, iż nie nie baczymy,  
Chociaż nas i po części czasem podskubają;  
Przed się gąski nie dbają, gdy im owsa dają.

Zaleca zwrócić pilną bacność w opatrzeniu granic, skolonizować puste, pograniczne pola; radzi, aby przestępców więziennych, podpalaczy i złodziejów, „co ich powieszają,“ używać raczej do robót przy naprawie walałych się murów, baszt i zamków obronnych, do robienia przekopów:

Potem by się do szturmów, do dział przygodzili,  
Wzdy ućciwiej, niżby się na słońcu wędzili.

Ale panowie dygnitarze i urzędnicy Rzeczypospolitej, zamiast myśleć, jakby kraj zabezpieczyć i podźwignąć, przyczyniają się raczej do jego upadku. Koronę długami obciążyli, zagmatwali prawa. Dlaczego, widząc, że król schodzi bezpotomnie, nie obmyślą odpowiednich praw zawczasu, aby nie narazić Rzeczypospolitej potem na szwank i rozterki? Głos Reja to tylko echo lepszej części narodu szlacheckiego, żądającego przez swoich wysłańców na sejmach: egzekucji praw, zapewnienia obrony granic, połączenia Litwy z Polską.

*E. Jerlicz.*

(Dokończenie nastąpi).



D-r Henryk Nusbaum.

## S E R C E.

Odczyt na Osady Rolne

wyłoszony w Warszawie dnia 21-go Marca r. b.



(Ciąg dalszy).

Ten duch twórczy wszechbytu, którego istnienie narzuca się myśli ludzkiej, a staje się koniecznością w dziedzinie nieokreślonego, tęsknego jej wzlotu, ten duch twórczy wszechbytu, pragnąc bytowanie ziemi upiększyć długimi sznurami klejnotów, lśniących coraz to żywszym jasności jego odbłaskiem, wszczepił w każdy z nich zarzewie żywiołowego popędu płciowego, które w najpiękniejszym z tych sznurów, w rodzaju człowieka, lśni się niebiańską miłością kochanków.

Ten duch twórczy wszechbytu, którego istnienie narzuca się myśli ludzkiej, a staje się koniecznością w dziedzinie nieokreślonego, tęsknego jej wzlotu, ten duch twórczy wszechbytu, pragnąc bytowanie ziemi w czasie upiększyć długimi sznurami klejnotów, lśniących coraz to żywszym jasności jego odbłaskiem, wszczepił w każdy z nich zarzewie wielkiej troski rodziców o potomstwo swoje, troski, która w najpiękniejszym z tych sznurów w rodzaju człowieka, staje się bezbrzeżną miłością rodzicielską.

Przestrzeń, która naraz się wstawia pomiędzy samicę a odrośl własnego jej ciała, nie jest w stanie wszczepić w ograniczoną jej świadomość poczucia obcości, inszości w stosunku do jej pomiotu i kocha samica pomiot

swój, jak samą siebie a rozkosz fizyczna przytulnego ciepła, muskania dotykowego delikatnych pokryw młodzieży, lubieżnego przez nią drażnienia wymion macierzystych—wszystko to razem splata się w zdumiewającą całość miłości rodzicielskiej, wyidealizowaną w legendowym pelikanie, raniącym pierś własną, by nakarmić dzieci swoje, a potwierdzonej wielokrotnie choćby przez gęś edredonową, która z piersi własnej wyrywa puch miękki na podścielisko gniazda swoich piskląt.

W massie zaledwie dostrzegalny porost, zabarwiający rdzą czerwoną lub siną powierzchnię skał nagich, mniej się różni od tysiącletniego boababu—odległego ogniwa w jednorodnej ewolucji, aniżeli miłość samicy od miłości matki, od miłości rodziców względem dzieci swoich.

Troska o wszelką ich klęskę.

Troska o wszelką ich pomyślność.

Troska o możliwe pokalanie grzechem ich duszy.

Troska o wyposażenie jej w możliwe cnoty.

Troska o ich dziś, o ich jutro, o to dalekie jutro, w którym tkliwą straż rodzicielską unicestwi na zawsze zawarta mogiła.

Odczucie w zwiększonej mierze ich bólu, ich cierpienia.

Odczucie w zwiększonej mierze ich szczęścia, ich rozkoszy.

Znieczulenie dla nich, wszelkiego własnego bólu, wszelkiego własnego utrudzenia.

Wzmoczenie przez nich własnej mocy i odwagi, energii i wytrwania.

I ta troska, i to odczucie, i ten trud dla jednego, dla dwojga, dla wszystkich, które z łona rodziców wyszły i od pierwszego technienia pierwszych, do ostatniego drugich...

Niepojętą jest moc miłości rodzicielskiej, jak niepojętem jest zjawisko istnienia rodu ludzkiego!

Niech mi kto wytłómaczy rację i całą istotę snującego się w czasie wielkiego zjawiska życia rodzaju ludzkiego w mechanizmie wszechbytu, a ja mu wytłómaczę rację i istotę wielkiego zjawiska miłości rodzicielskiej.

A źródłem, które daje nam tę moc wielkiego uczucia, słońcem, z którego emanują cudowne promienie miłości rodzicielskiej — to serce! To samo serce nasze, które rzuca miłości promień ku kochankowi lub kochance i które wielkiej siły promienie rzuca ku tym, którzy życiem nas obdarzyli.

Oboje rodzice wielkiem związani uczuciem miłości wzajemnej, bezbrzeżną przeniknięci miłością ku dzieciom swoim, pielęgnują jednocześnie miłość isticie nabożną ku drogim rodzicom swoim, jeśli wśród żywych są, lub też ku ich ceniom świętym, jeśli już od nich odeszli.

A może być wysoce uduchowionego człowieka dziecięciem i to, które się wszystkim, na podobieństwo dziecka z nim łączy, prócz jednego momentu biologicznego — tożsamości krwi.

Czy widzisz tę kobietę wynędzniałą, żółtą, na pół zaledwie w lachman odzianą, nie umie się ona obronić przed zmorą głodu, upiorem zimna, przed psem złośliwym, przed

bezcuciem lub okrucieństwem złości ludzkiej, czy widzisz tę kobietę bezsilną, jak w fałdy zlachmanionej jej sukni wzepia się chudemi, suchymi rączynami i do kościstego jej łona tuli się dziecię blade i wątłe. To dziecię przed wszelkiem bytu niebezpieczeństwem znajduje niezawodną w mniemaniu swem osłonę w fałdzie brudnej sukni swej matki na mizerną swoją twarzyczkę i łzawę oczęta zaciągniętej, ono w matce swej bezsilnej widzi swoją obronę, opokę i bezpieczeństwo całe.

Żadna wiara religijna nie drga silniej w sercu ludzkim nad wiarę dziecka zrazu w matkę swoją, nieco później w matkę i ojca. A z wiarą tą głęboką ściśle związana jest wielka miłość.

I zapewne uczucie miłości synowskiej, wiara w niezmożone niczem orędownictwo rodzicielskie, jest jednym z punktów wyjścia ewolucji uczuć religijnych ludzkości.

Już w latach najwcześniejszych miłość dzieci względem rodziców, obok bezwiednego motywu instynktu samozachowawczego, opiera się niewątpliwie na momentach czysto altruistycznych.

Przybywa później uczucie świadomej wdzięczności, głos obowiązku, przykazania Bożego, ale nade wszystko owa iskra mistyczna, która jest źródłem etycznego rozwoju ludzkości, sprawia, że rodziców naszych kochamy, tak jak kochamy dzieci nasze. Owszem tliwszą jeszcze jest miłość nasza względem rodziców naszych, albowiem o dzieciach naszych wiemy, że nas przeżyją, że w ich wartości, w ich powodzeniu, jest część wartości naszej, część zasługi naszej i prawo mamy — spełnione czy nie spełnione — ale bądź co bądź prawo, do późnej ich wdzięczności. O rodzicach zaś wiemy, że przed nami zejda z tego świata i niedostępnymi im będą świadectwa wdzięczności naszej. Tam wznosimy budowle nowe, piętrzymy mury, wieżycy, krasimy je na zewnątrz w wytworne linie i ornamenty, tu chronimy stare od zagłady, podtrzymujemy z najpilniejszą troską grożące tuż zwaleniem się dostojne wiekiem i doświadczeniem ściany omszałe i poszczerbione baszty. Tam uzbieramy drogich sercu naszemu rycerzy w broń i odwagę, w wiarę w zwycięstwo, posyłamy za nimi gorącą troskę o pomyślność.

Tu otaczamy zasłużonych w boju inwalidów czcią i uznaniem, kojeniem bólów, prostowaniem przykurczających się członków. Tam z rozmachem rzucaamy w możliwie daleką, niepochwytą przyszłość przygotowywane gorliwie kształty terażniejszości.

Tu ze wszystkich sił naszych bronimy drogiej terażniejszości od usunięcia się jej w otchłań przeszłości.

Różniamienną jest miłość dzieci i miłość rodziców, ale z jednego płyną źródła—z nieprzebranego w zdroje miłości serca naszego.

Nie zawsze wdzięczność jest motywem miłości dzieci względem rodziców.

Widziałem dzieci nieszczęśliwe bez winy, które tylko żal słuszny do rodziców swoich za błędne i grzeszne kierownictwo nimi żywićby mogły, a które rodziców swoich niemniej kochały fanatycznie.

Tak człowiek wierzący Boga wielbi i miłuje i za wszelkie klęski, które nań zsyła.

Nie zawsze uznanie słuszne cnot rodziciel-

skich jest motywem miłości dzieci względem rodziców swoich.

Widziałem z upadłych głęboko moralnie rodziców zrodzone dzieci, w których atawizm, czy dążność przyrodzona powrotu do normalnego typu rasy przedzierzga dziedziczny grzech w cnotę, roznieca iskry dobra z popiołów zła, widziałem takie dzieci jako rodzicom przebaczyły wszystko, jako wykresłały w świadomości swej w stosunku do nich sąd, a pielęgnowały w sercach swoich tylko troskę tkliwą, tylko miłość jedyną.

Tak człowiek pobożny nie uzuchwala się myślą krytyczną bluźnić Opatrzności nawet tam, gdzie porządek świata zdawałby się być okrutnym, nie Bożym, a chyba szatańskim.

Jest zaiste w miłości dzieci do rodziców jakaś świętość podniosła, szlachetna, przepiękna, przepiękna — a źródłem tej świetlanej ducha ludzkiego emanacji jest — ludzkie serce.

W uduchowionym świecie ludzkim bywają stosunki jakoby dzieci do rodziców, tylko, że niema tam biologicznego momentu *pochoźenia*. Taką jest miłość uczniów ku mistrzom swoim, miłość maluczkich ku ducha olbrzymom.

To samo serce nasze, które kocha miłością czułą inne, dopełniające je w stadle, które kocha rodziców, od których wzięło życie, które kocha dzieci, którym życie dało — dziwną bije miłością dla tych, którzy jako mistrzowie zachodem specjalnym kształtowali w jakimkolwiek kierunku ducha naszego w doskonalszą jakość; dla tych, którzy jako duchy olbrzymie, w dziedzinie wiedzy lub sztuki myśl powszechną bogacąc bezwiednie przyczynili się do udoskonalenia i naszego ducha, bezwiednie obdarowywali i nas wzruszeniami rozkoszy umysłowej lub artystycznej.

Wdzięczność, podziw, cześć, uwielbienie, wszystkie te wibracje zlewają się zgodnie w emanację wielkiego uczucia miłości ku dobroczyńcom naszym, ku mistrzom, ku olbrzymom rodu ludzkiego.

A im bardziej jest człowiek uduchowiony, im bogatszą wiedza jego, subtelniejszym uczucie, tem liczniejszy zastęp uznania godnych jednostek przytomnym jest świadomości jego, tem liczniejsze są cele, ku którym z nieprzebranego źródła miłości, z serca naszego, emanują promienie uczuć wdzięcznych i przyjaźnych.

Czyż nie kocha wprost nabożnie młodzieńcze serce każdego z przewodników swoich przejętego szczerą i widoczną troską o rozwój pomyślny wychowawców pieczy swej powierzonych?

Bez względu na skuteczność usiłowań nauczycieli naszych, hamowanych nieraz przez naszą własną nieudolność, żyjemy dla nich uczucia wdzięczności, czci i miłości. Oto słyszę słowa:

— Jakże kocham nauczyciela mojego, który ucząc mnie Pisma świętego, ukazywał mi ogromy tajemnic bytu i przez mocno zacieśnione szkła blaski niepojętych prawd.

— Jakże kocham nauczyciela mowy ojczystej, który wtajemniczał mnie w analizę elementarną pojęć i w zasadnicze rusztowania

logiki, ukazywał mi ducha w formach, nauczał form dla ucieleśnienia ducha.

— Jakże kocham nauczyciela, który ucząc mnie historii naturalnej, rozbudzał we mnie miłość piękna przyrody i zapal poznanania jej tajników.

— Jakże kocham nauczyciela, który przed zdumiony wzrok młodej wyobraźni przesuwiał wspaniałe dekoracje, wstrząsające sceny i zastępy bohaterów wielkiego dramatu dziejów ludzkości.

Pomijam wielu innych, których za rzucanie garściami jasności poznania w ciemną duszę moją, kocham całym sercem i wdzięczną zawsze wspominam miłością.

A później, ze studyów dalszych: jakże kocham dotąd i wielbię szczerze mistrzów, którzy to nauczali mnie misternej budowy własnego ciała mojego, to zadziwiającego procesów życiowych mechanizmu, który narzuca myśli przeświadczenie o niepojętej jakiejś celowości bytu, to w pewnych działach biologii rozwijali przed duszą moją wspaniałą wizerunek podniosłego zjawiska ewolucji w przyrodzie i t. d., i t. d.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## O SZCZĘŚCIE DZIECKA.



VIII.

Trudy, przykrości, ciernie.

„Každy trud zwalczony, jest szczeblem do sławy.

*Mickiewicz.*

Nie ozłocisz, matko, drogi życia swego dziecięcia tak, aby trudu na niej nie znalazło.

Nie owiniesz tego gościńca, po którym przeznaczenie wieść go będzie, takimi puchami i kwiatami, iżby cierań ani jeden go nie zranił...

Nie osłonisz życia twej dzieciny takimi skrzydłami, iżby żaden wichur mroźny do niego nie doleciał, żaden ból życia do niego nie dotarł...

Złudne marzenie, pragnienie i tęsknota! Jeśli o szczęściu swego dziecka marzysz, jeśli wpatrzona w to gładkie, białe czoło, dumasz nad tem, w jaki sposób ciernie z drogi usunąć, to wiedz o tem, iż przez wychowanie dobrze kierowane, ubezpieczyć dziecko swe możesz na trwanie wśród bólów życia, ale ich zupełnie z drogi usunąć nie zdołasz.

Ani zbyt różowych szkieł optymizmu, ani zbyt czarnych szkieł pesymizmu w planie wychowania nie potrzeba przybierać. Ani życie będzie samem pasmem cierpień, ani samym wieńcem kwieciami... tylko pleść się będzie nawzajem jedno z drugim i nie od tego będzie szczęście twego dziecka zależało, czy od trudów i przykrości go uchowasz, ale od tego, jak ty je nauczysz trudy, przykrości i ciernie znosić.

Czyż trudy życia wreszcie odzierają i niszczą? Czyż nie przynoszą one właśnie kłosów zasługi i nie stawiają szczebli do sławy, jak Mickiewicz powiada?...

Czemże życie takiej jednostki, która nie

zwalczyła żadnego trudu, nie pokonała żadnej przeciwności, nie goiła blizn przez cieranie jej zadanych?... Wszak to upowicie puchowe zabójstwem się staje dla sił duchowych jednostki, wszak z ludzi takich, którzy nie walczyli z trudami życia społeczeństwo nie ma żadnej korzyści. Są to bańki mydlane, są to puchy marne, są to mgły przejrzyste, a narodowi potrzeba ludzi wichurów, skał, piorunów, ludzi czynu, męstwa, wytrwania i zdobywcy ciągle naprzód idących...

Dziecka nie należy wychowywać tak, ażeby ono trudów nie znało.

Lecz przeciwnie, należy je przysposabiać do tego, ażeby z trudami umiało sobie dawać rady, kiedy wśród nich z zwycięstwem stawało i jeszcze drugich przykładem swoim do zwycięstwa wiodło.

Konfucyusza zdanie dobrze określa przeznaczenie wychowania:

— Nie można sądzić o człowieku z jego *niepowodzeń* — powiada mędrzec, — *trzeba najprzód wiedzieć, jaką korzyść z nich wyciąga.*

Bo też istotnie, nie o to świat, ludzie i życie pyta, czy tyle i tyle trudów mieliśmy przed sobą do pokonania, ale o to pyta, czy umieliśmy godnie, szlachetnie i uczciwie wytrwać wśród nieszczęść i cierni zalewu.

Jakże wychować dziecko, ażeby ono z trudów pokonywanych zdobywało szczeble do sławy?

Nie rozpieszcać go zbyt...

Nie upowijać puchowemi osłonami, nie zastawiać parawanami wygody, nie kołysać marzeniami, gdy w życie trzeba iść, jak do walce i mozołu.

Do zniesienia trudów, do bólów cierni życia niech się wcześniej dziecko przyzwyczaja, ale nigdy zetknięcia się tego z trudem i bólem życia nie trzeba ubierać w czarny welon rozpaczny i narzekania, lecz przeciwnie nadzieję i odwagę je rozjaśniać.

Dziecko ma cokolwiek trudu z nauką w początkach. Niecierpliwi się i dąsa, narzeka i stęka, a już czuła i pieszcząca mamusia podbiega i radzi, i pyta, i szuka, i myśli, w jakiby sposób ułatwić pracę, jak ulżyć trudowi. Potem, przy gościach, przy każdej sposobności, mama w obecności dziecka opowiada wszystkim, ile to dziecko jej ma pracy, jak się mozoli i męczy, źle wygląda i mierznieje, słowem robi się z tego tragedya cała, która daje to przekonanie małemu dziecku, iż istotnie ono ogromnie pracuje i męczy się.

Przy takim zaczęciu idzie wszystko w podobnym stylu dalej. Każda mała praca uważana jest za trud nad siły, każde zwykłe wypełnienie tego obowiązku, który bywa wykonywany przez setki, tysiące dzieci innych, zdaje się tu zasługą niezwykłą, każda praca codzienna, podnoszona bywa do wysiłku nadludzkiego.

W takich warunkach rosną ludzkie karły, i wieczne płaczki narzekające na los, życie, przeznaczenie, świat cały i t. d.

Krasiński w liście do dzieci napisał:

„Łatwość nie jest narzędziem dobrem w ręku człowieka — palce od niej miękkną, woskiem się stają.

Czyż nie udowadnia tego życie ciągle, z nieubłaganą prawdą wykazując to, iż ci

ludzie, którzy wszystko łatwo zdobywali, wykonywali, oddalali od siebie jako ciężary zbytne, ci ludzie staczali się potem istotnie jako o woskowych palcach niedołężne lalki, bo w istotnej walce potrzebie, w chwili prawdziwego zetknięcia się z trudem, przeciwnością i cierniem życia, nie umieli sobie dać rady zupełnie.

Czemże stawali się bohaterowie, jeśli nie ludźmi, którzy wobec trudów, przeciwności i cierni, umieli nie tylko siebie obronić, ale bronili tłumy całe, narody ogromne swymi nieustraszonemi pierściami osłaniali.

Czemże jest niedołęztwo, tchórzliwość, niekczemna uciekinierya, jeśli nie wynikiem wychowania takiego, które od trudu chroniło, przeciwności osłaniało i nie uczyło odważnego wystąpienia do walki?

Dziecko, które od lat wczesnych nawykło do tego, iż wszystko ku jego wygodzie czyniło, nie nawyknie potem kiedyś w życiu do tego, by drugim w chwili trudu i cierpień lży otarło, ciernie usunęło.

Nie ten bywa najszczęśliwszym w życiu, kto się upowinął wataę wygodnictwa, uszy zatkał na głosy ludzkich jęków i bólów, serce oddzielił przegrodą daleką, aby go nie wzruszyło i żyje, „jak ów płaz w skorupie,“ o którym Mickiewicz ze wzgardą powiada.

Tacy ludzie szczebli do sławy nie mają przed swą drogą i tacy żyją, jak najnikczemniejsze jednostki społeczeństwa.

Dziecko musi iść w życie z tem przeświadczeniem, głęboko zapisanem w młodem sercu, iż wśród trudów, cierpień i cierni bolesnych, ono życia swego nie zgasi, ono nie utonie jak wąż łupinka na fale rzucona, ono trwać będzie miało siły i w trwaniu tem zwyciężając, znajdzie szczęścia swego podwalinę.

Woronicz w „Sybilli“ powiada:

„I nieszczęście jest sławą, kto go uczuć umie,  
Mądrze znieść, ni zgubionym być siebie rozumie.“

Z fali cierpień, z świata łąz, głodu, poniżania i trudu nad siły wyteżonego, wylatują wszakże nieraz takich mocy niepożytych duchy, iż świat zachwycają, świat biorą w ramiona i dla świata szczęście zdobywają.

Czemż zaś z puchowych kolebek, z salonnów kobiercami słanych, z życia tego, o które wichry nie biją, nie rodzą się takich wielkich lotów orły?...

Bo tam wszystko idzie łatwo, tam woskowe stają się palce, tam ramiona nie umieją dźwigać ciężarów, tam serce nie ma hartu na wytrwanie i przetrwanie w dniach cięższych.

Długosz, wychowując królewskie pacholęta, trzymał je ostro i karnie, a kiedy matka prosiła o trochę ulgi w wygodzie dla nich, nauczyciel roztropny, rzekł:

— Miecz, który ma być ostry, musi być hartowany;— królewicz, który ma władać narodem, musi umieć znosić trudy i mozoly.

Źle i nieroztropnie by było, gdyby się zaś zanadto dzieci przemęczało w chęci nawyknienia do trudów. Sztucznie wyszukiwać bólów i cierpień życia nie potrzeba, bo ono samo ich dość poda, jednak w chwilach twardszych, smętniejszych, potrzeba otaczać dzieci wyjątkową opieką i podtrzymywać młode serce w cierpieniu, strzegąc, by się żarem nie przepaliło.

Dla dzieci uchronionych od walki o chleba kawał, dzieci dostatkiem otoczonych, korzystną jest rzeczą zbliżać się do świata ubóstwa, bo zapoznają się z cierpieniem nędzy, wyrabiają w sobie litość i współczucie, mają przykład, jak ubodzy wśród przeciwności dają sobie radę.

Ze zbliżaniem się trudów życia i jego bólów do serca dziecięcy, należy bardzo czujnie zasiewać wiary złote ziarna, ażeby uchronić od zwątpienia i nie dać budzić się myślom bluźnierczym.

Bóg daje cierpienia, ale On zarazem daje i rozkosze życia!... Kto wytrwa w bólu,—zasługuje na dni jasne i o ich przyjsciu niech nie wątpi!...

„Wśród burz, co szczytne, nie pójdzie na dno

„I nie utonie w otchłani błota,

„Prędzej ci umrą, lecz nie upadną,

„Dla których dobrem najwyższem — cnota!...“

Jadwiga z Z. Strokowa.



Aniela Tripplinówna.

## Z pobytu na dalekim szlaku.



(Ciąg dalszy).

Lepiej mi się powiodło z krawcem z Jaffy, obchodzącym także miodowe miesiące w hotelu. Posłyszawszy odmowną odpowiedź pana Faraha, pan Yattir zaproponował mi wspólną przejażdżkę do fenicyjskiego grodu. Tylko uprzedził, że dla pewności, trzeba w wigilię wyjazdu dać zadatek stangretowi; pięć franków przypadło na moją czwartą część. Nazajutrz rano o 10-ej zupełnie do podróży gotowa, wchodzę do salonu.

— Czy już ubrani państwo Yattir? — pytam kasyera.

— Już o 8-ej rano popłynęli do Jaffy,—brzmiała odpowiedź.

— Jakto do Jaffy? — odparłam, — przecież wzięli odemnie 5 franków na wycieczkę do Sydonu!

— Cóż pani chce, wziął pięć franków od pani, piętnaście od Angielek, dziesięć od kapitana statku rossyjskiego i znikł. Wziął, bo musiał, bo nie miał na zapłacenie hotelu i powrót do domu.

— Jakto musiał? Sprawiał kosztowne stroje, obsypywał cukierkami, woził na spacer swoje panie.

— Bo musiał, bo musiał! — energicznie powtórzył kasyer. — U nas bez zbytku nikt ożenić się nie może. Kto niema nic, ten dostaje zapomogę pieniężną od poczciwych sióstr, od Jezuitów, od Franciszkanów, lecz żonę musi *wznieść na tron*, jak się wyrażają nasi chłopci. Żona musi mieć kilkadziesiąt dni królowania za całą przeszłość i przyszłość. A i o teściowej nie wolno zapominać. Jeśli się tego nie spełni, ślub nie ważny, niema błogosławieństwa Bożego, ani szacunku ludzkiego. I jabym już powinien być żonaty—dodaje po chwili,—lecz że matka w ciągu ostatnich dwóch lat dwukrotnie miała bliźnięta, po których ciężko chorowała, to już ojciec nie chciał się

dla mnie zadłużać. Mam lat 23 i gdyby nie te bliźnięta... Tak, pani, jest nas starszych jedenaścioro i dwie pary bliźniat, więc chociaż ojciec na swoim urzędzie dużo zarabia...

— A jakż jest urząd ojca pańskiego?—zapytałam bez żadnej myśli złośliwej i ze żdziwieniem dostrzegłam szkarłat na twarzy kasyera. Widocznie nie na rękę było mu to pytanie.

— Mój ojciec — odpowiedział po długim namyśle,— jest najwyższym urzędnikiem nad kuchniami gubernatora Libanu, przytem przyjaźni się z przyjaciółmi gubernatora i od nich też dostaje bakszysze, co mu razem zapewnia 150 franków miesięcznie.

Domyśliłam się wszystkiego. Jego ojciec był pierwszym kucharzem gubernatora i otrzymywał napiwki. Oprócz tego musiał mieć dochody bazarowe, to, co u nas nazywają *koszykowem*. Ale młody kasyer, próżny, jak każdy Arab, dostąpiwszy godności kasyera i między nami cudzoziemcami udający wciąż wielkiego pana, wstydził się pozycyi ojcowskiej.

W tym kraju próżność rodzi się wszędzie i pod chłopską siermięgą w chacie wieśniaczkiej, o czem świadczy wyborne arabskie przysłowie: „Alu lil barl, min abuk? Al-El hisan hali,“ co brzmi po polsku: „Pytano muła, kto ojciec twój? Muł odpowiedział: Koń jest moim wujaszkiem.“

Trzeba poznać Arabów tak gruntownie, jak ja ich poznałam, żeby ocenić całą trafność tego przysłowia, jak i wielu innych, które dawna mądrość arabska stworzyła.

Próżność i samochwalstwo Arabów nie mają granic. Każdy Arab syryjski sypie sam sobie pochwały, jak gdyby mówił o trzeciej osobie. Wiedziałam to już z czasów pierwszego pobytu w Palestynie i już mnie to nie dziwiło. Urzędnicy poczty rossyjskiej w Bejrucie, dwaj młodzi Arabowie, prawili mi o sobie i swej urodzie za każdym razem, kiedy przychodziłam po listy. Byli przekonani, że w Petersburgu najbogatsze hrabianki i księżniczki dobijałyby się o ich rękę. Nie jada, tam, bo obawiają się zmiany klimatu.

Opuściwszy naszego pięknego kasyera, któremu od tego czasu dorzucałam co tydzień jakiegoś franka, wróciłam do nowożeńców wyższej i najniższej sfery.

Z państwem Mutran-Farah tak się zaprzyjaźniłam, iż wymogli na mnie obietnicę, że ich odwiedzę w Baalbeku, a nawet i młodą parę w Sydenham. Co do Baalbeku i tak się tam wybierałam z powodu wspaniałych ruin, które są chlubą i bogactwem tego starożytnego grodu, więc słowo dane było łatwe do dotrzymania.

Pan Farah, mimo całej dżentelmeneryi i okazywanej mi sympatyi, gdzie tylko mógł i jak mógł, wyzyskiwał do końca moją znajomość, współnością powozów, napiwków, narajaniem mi starożytności, bynajmniej nie starożytnych, abonowaniem książek, które żona mieć pragnęła, a które ja opłacałam. Nie byłby Arabem z krwi i kości, gdyby myśl jego wciąż nie spekulowała.

— Strzeż się pani—upominali mnie doktor i pan Bezil,—Arab najniebezpieczniejszy dla cudzoziemca wtedy, kiedy go bardzo kocha.

A on mnie tak kochał, że mi przynosił le-

karstwa z apteki, niby po niższej cenie, ale gdy doktor zobaczył etykietę, chwycił się za głowę, wołając: „Zapłacone trzy razy drożej, niż w najlepszej aptece francuskiej!”

Miałam w pokoju moim nadzwyczaj miłe tamtejsze ptaszyny „zur-zur“ zwane, niezmiernie łatwe do oswojenia, używane zaś do wyławiania much. Tymczasem w naszym hotelu, z powodu wielkiej czystości, nie było much wcale. Pan Farah zaproponował mi dostarczanie much i przynosił je od rzeźnika codziennie, licząc mi 20 centów. Wypadkiem trafiłam do tego samego rzeźnika, który się śmieje na propozycję zapłaty. Był to Turek uczciwy w rachunkach i śmiejąc się, rzekł do mnie: przecież panu Farah z Baalbeku codzień dają paczkę tego paskudztwa i nigdy grosza za to nie biorę.

Co kraj, to obyczaj!

Bo proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy mnie zacna, cnotliwa pani Mutran zaprosiła wieczorem do pokoju chorej córki, leżącej w łóżku. Godzina dziewiąta, chcę się usunąć, widząc, że pan Farah krawatę zdejmuję... Zrywam się z kanapy i przechodzę do salonu, do którego zbiegają się wszystkie nasze drzwi. Pani Mutran pędzi za mną.

— Co pani jest? Dlaczego pani ucieka? Zaraz nam podadzą kawę i owoce. Mnie się jeszcze spać nie chce, proszę, wróć pani...

— Ależ pani żartuje! Przecież zięć pani rozbiera się i gotów położyć się do łóżka.

— Cóż to pani szkodzi? Pani już stara, bardzo stara (*ichtiara ktir, ichtiara*), a on ma żonę. Pani starsza daleko odemnie.

To prawda—pani M... choć ma wnucząt całą poczet, liczy dopiero 45 lat, ja zatem wydaję się jej okropnie zgrzybiałą, a według tamtejszych poglądów, stara kobieta to sprzęt, kawałek drewna, z którym nie robi się żadnych ceremonii.

Po sześciu tygodniach wyjechał ów sympatyczny tercet. Raz jeszcze do Baalbeku wrócili wszyscy razem, poczem już nowożeńcy popłynęli do Australii. Z wiosną wybrałam się do Baalbeku, gdzie rzeczywiście państwo Mutran posiadają wspaniałą rezydencję, z przeszlicznym parkiem. Nalegali, żebym u nich zamieszkała, lecz przekładam swobodę, zwłaszcza tam, gdzie tyle zajmujących rzeczy jest do zwiedzenia, a po drugie, gotowiby mnie jako *ichtiare* (starą) czyli *kawałek drewna* pomieścić w jednej sypialni z bratem lub synem.

Biedną Afifę znalazłam istotnie pomieszczoną w kamiennej chałupie, sypiającą na słomianym dywanie, żywioną bobem, ryżem i sałatą, tylko dwa razy w tygodniu otrzymującą baraninę. Zastałam ją smutną, melancholijną, mizerną, ale zrezygnowaną. Przez miłość dla rodziców nie skarżyła się na nic.

Uchylam czoła przed cnotami rodzinnymi Arabów. To ich siła.

Zwiedzałam potem i Saint-Jean d'Acree i ową sławną fortecę, której Napoleon zdobyć nie zdołał, a wszędzie spotykałam rzeczy godne widzenia i zachwytów.

— Dajcie nam tylko inny rząd, wypędźcie nam Turków, przyjeżdżajcie z obcych stron, wskrzeszcie dawne Państwo Jerozolimskie z hrabstwami, z systemem feudalnym, z gminami, z rycerzami, a zobaczycie jak prędko

znowu zmartwychwstaniemy i jakim wielkim staniemy się narodem. Teraz, przyznajemy, zamieniliśmy się nawet w tchórzów, zabijamy, a walczyć już nie umiemy, boć Turek, chcąc nas zupełnie upodlić, odczytał od samoobrony i spisków i wcale nas do wojska nie powołał,— tak przemawiał plantator tytoniu z Laodicei, który z drugą młodziutką żoną, przypłynął do nas na miodowe miesiące—i budził w nas homeryczny śmiech obawą przed końmi, których w rodzinnym jego mieście, t. j. w starożytnej Laodicei, niema wcale. Wydaje się to nieprawdopodobnym, a jednak tak jest. Z powodu karkołomnych ulic, na których się druzgotały wszelkie wehikuly i zabijały konie, w Laodicei używana jest jedynie lokomocya, jakiej Adam z Ewą używali w raju. Przekonałam się o tem na miejscu.

Czytanie wprawdzie nie przedstawia niebezpieczeństwa, a jednak szanowny plantator *hawaja El-Zebel*, wychowawiec Lazarystów, nie źle mówiący po francuzku, żadnego pisma peryodycznego nie chciał brać do ręki, dowodząc, że czytać nie warto, dopóki Turek panuje w Azji Mniejszej.

Świat intelligencji, inżynierowie, kupcy, nawet lekarze, wszyscy żyją w ten sam sposób. Nie interesując się niczem, co ich zawodu nie dotyczy—bo i lekarz Arab, jednocześnie z dniem otrzymania dyplomu, zrywa z książką wszelkie stosunki, a medycynę traktuje jako przemysł. Aptekarzy to się już wprost lękać trzeba, tak straszne popełniają nadużycia, a co gorzej, każdy, bez najmniejszej naukowej kwalifikacji, ma prawo otworzyć aptekę. Jest też aptek arabskich bez liku, z pięciuset frankami w kieszeni, człowiek, który abecadła chemii na oczy nie widział, nabywa aptekę i zaczyna w niej zarządzać, jak gdyby sprzedawał nici, igły lub kartofle.

Arcy zabawnymi wydają mi się włościanie Libanu i Antylibanu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Dla uczącej się młodzieży.



W szeregu potrzeb domagających się zaspokojenia, niewiadomo doprawdy, która pierwsza i bardziej nagła. Wszystkim zaradzić nie sposób, choć chciałoby się przyjść im z pomocą czynną, lub wykołatać ją wszędzie, gdzie dusze szlachetne i serca gorące dla spraw ogólnych. Pojmowanie doniosłości sprawy zależy od umysłów i od charakterów; niema takiej, co do której zgodziliby się wszyscy na jedno, iż jest najważniejszą i najbardziej współudziału naszego wymagającą. My postawiliśmy sobie za zadanie ratować dzieci i młodzież od nędzy i głodu tego, który chlebem powszednim zaspokojony być może i ten głód ducha, który do zdobycia tego chleba prowadzi i pomaga, to łaknienie światła, wiedzy i nauki uprzystępnąć każdemu w miarę sił i możliwości. Dziś każdy dom zamienić się musi w szkołę; miasto analfabetów podejmie samo pracę oświecenia mas, aby jak najprędzej zetrzeć z siebie tę hańbiącą nazwę; każdy tem swia-

tem, tym stopniem wiedzy, jaki mu przypadał w udziale, podzielić się musi z drugim. To, co z ducha wypływa,—ducha podnosi, uszlachetnia, doskonali, więc też praca nad oświatą, zbliżenie jednostek do źródła wiedzy, wskazanie im rozkoszy poznania, rozbudzenie chęci badania samoistnego jest doniosłą pracą kulturalną. Dotychczas braliśmy naukę taką, jaką nam dawano i w tych formach spaczonych, rutynicznych przechodziła ona do umysłów naszych dzieci, nie rozwijając ich, a częstokroć nawet przytępiając. Dziś młodzież sama zrozumiała, czego jej potrzeba; dopomniła się o szkołę polską, o ojczysty język wykładowy. Rodzice i wychowawcy popierać ją w tem powinni, bo ich zadaniem jest wychowywać, *stworzyć* człowieka.

Nie będziemy tu mówić o zadaniach rodziny w kształtowaniu charakterów, nie tylko umysłów swoich dzieci, chcemy tylko zaznaczyć, że dla wielu, bardzo wielu, nauka jest niedostępna dla braku środków odpowiednich. Urządzenie szkół nowego typu, podręczniki, zgromadzenie odpowiednich sił nauczycielskich, wymaga wielkich nakładów. To, co się robi i daje, jest kroplą w morzu potrzeb ogólnych. Nowe życie nowych wymaga środków. Pomoc, jaką dziś wyświadczycie uczącym się, to tylko fundusz zapomogowy, to kapitał obrotowy, to pożyczka zwrotna, którą oni kiedyś stawszy się ludźmi, zwrócą swym młodszym braciom i temuż samemu społeczeństwu w formie pracy i pomocy społecznej,—to dług przyszłości, który tem hojniej procentować będzie, im bardziej wy zrozumiecie jego żywotną doniosłość. Nie będzie to nigdy grosz zmarnowany na przepadłe, bo taka pomoc, to tylko posiew, z którego powstaną niebawem synowie tej ziemi i dzielni jej obywatele.

Z dniem dzisiejszym w piśmie naszym otwieramy dział pomocy dla uczącej się młodzieży.



## PŁOMYK.

URYWEK Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI

Napisała

**EUGENIA ŻMIJEWSKA.**



(Ciąg dalszy).

7-go Lipca.

Ja, — bo doprawdy, jestem jakaś dziwna, nie taka, jak inne panienki. Nie lubię bawić się, biegać, nogi mnie wciąż bołą i jestem zawsze smutna. Nie lubię podróży, książek dla młodzieży, tylko powieści, i to takie, gdzie się bardzo kochają.

Zkąd mi się to wzięło? Ani mama, ani ojciec, ani nauczycielka o miłości nie mówią, ale nasłuchałam ja się od dzieciństwa o różnych „romansach“ od nianiek, od panien służących, od klucznicy. Kiedy byłam mała, to mi pozwalali z niemi przebywać, a potem przyjeśli do mnie i do mego brata, Józia, mademoiselle Alice. Ona opowiadała mi ciągle o swoich konkurentach w Paryżu: jak to je-



den chciał się dla niej otruć, a drugi, hrabia, i bardzo bogaty, chciał koniecznie zenić się z nią, ale że jego rodzina była przeciwna, więc mademoiselle Alice wyjechała z kraju.

I tutaj wszyscy się w niej kochali, opowiadała mi, pod sekretem, że ekonom pokazał jej swoje serce na migi i westchnął, a pisarz papy szepnął jej: *amour* i ukłękął przed nią. Ja bardzo zazdrościłam mademoiselle i już wtedy zaczęłam myśleć o miłości i wyczekiwać, kiedy mnie będą kochali.

Po roku, mama odprawiła mademoiselle, — za co, nie wiem, — słyszałam, że bardzo się na nią gniewała i kazała zaprzędz konie i wywieść ją zaraz, nie pozwoliła nam pożegnać się. Mała szkoda. Ja nie bardzo lubiłam mademoiselle, bo była niesprawiedliwa i wolała Józia. Chociaż ja lubię, żeby mnie całowali, a nie on, to ona ciągle go pieściła, a na mnie nie spojrzała, opowiadała mi o swoich konkurentach, bo mówiła, że jestem „*plus intelligente que Józio, mais Józio a des si jolis yeux.*“ On zawsze jej się z rąk wyrывał, kiedy go chciała całować.

Nieraz mnie brała zazdrość, bo mnie nikt nie całuje. Nie wiedzą, że ja to lubię, ale ja nie śmiem powiedzieć.

— Dola, to mruk, — mówi o mnie panna Olimpia, — co to za dziecko niemile, zawsze nadąsana, ponura, wygląda, jak gdyby trzy wsie podpalila.

A mama jej przytakuje.

— Ta dziewczyna nikogo nie kocha, ma pociąg do złego towarzystwa, siedziałaby ciągle w garderobie.

Jestem bardzo zła, ale to nieprawda, że bym nikogo nie kochała. Owszem kocham rodziców i rodzeństwo (panny Olimpię nie), tylko wstydę się i boję okazać, a do garderoby uciekam, bo tam nikt mi nie mówi, że jestem nieznośny mruk, a stara niania to mnie czasem przyhołubi i popieści.

25-go Lipca.

Mama z papą rozmawiali dziś w gabinecie i nie spostrzegli, że ja uczę się w drugim pokoju. Co mówili na początku, nie wiem, bo zaczęłam słuchać dopiero, gdy mnie doleciało zniechędzone imię mojej nauczycielki.

Papa mówił:

— Chciałem ci jeszcze zwrócić uwagę na jedno: panna Olimpia jest za sroga dla Doli — słyszę, jak przy lecey muzyki krzyczy na nią i daje jej klapsy. Dziecko zahukane, stale wystraszone!... Jaby był za zmianą systemu.

(Miałam ochotę rzucić się kochanemu ojcu na szyję).

— Mój drogi, uprzedzasz się do panny Olimpię — odpowiedziała mama, — nie znajdziemy wykształczonej osoby...

— Ani też i większej złościcy! — dorzucił papa. — Ta zgorzkniała, stara panna, mści się na Doli za to, że nie znalazł się dudek, który ją zaprowadził do ołtarza.

Na tem urwała się rozmowa, bo przed ganek zajechali goście. Miałabym ochotę pobiedz do papy i wycalować go, wyściskać, że taki dobry, nawet nie myślałam, że tak mnie rozumie. Nie darmo mówią, że papa jest najrozumniejszy z całej okolicy, — mówiła mi to Ludwiczka.

Mój drogi ojculek! Teraz, odkąd wiem, że on po mojej stronie, nie będzie mi tak smutno w domu. Ale ja chyba nie będę śmiała mu okazać, że go tak bardzo kocham i że jestem mu wdzięczna, za to zdanie o „Olimpiadzie“, bo zdziwiłby się, z kąd ja o tem wiem, myślałby jeszcze, że podsłuchiwałam.

Jak to papa dobrze powiedział, że ona jest największa złościca i zgorzkniała stara panna. O! ja jej nie cierpię, ona buntuje przeciwko mnie mamę. Wiem... Żebyż-to znalazł się taki dudek, jak papa mówi!...

Ale nie, choć mam bujną wyobraźnię, nie mogę sobie wystawić panny Olimpię w sukni ślubnej z welonem na tej twarzy, która jest podobna do pomarańczy, przyprószonej kurzem.

Może takim dudkiem będzie nasz rządca... teraz dopiero przypominam sobie, co mi mówiła Ludwiczka: że „panna Olimpia zawraca oczy do pana Łyskowskiego.“ Ludwiczka jej nie cierpi... bo zdaje mi się, że i ona... albo ja wiem... kiedyś spotkałam ich w sieni od kredensu... była bardzo czerwona, a pan Łyskowski przewrócił stołek...

5-go Sierpnia.

Co to dziwnego, że lubię siedzieć w garderobie; moja poczciwa niania tak mnie kocha i umie spiewać śliczne dumki, a jak słucham, to ze mną dzieje się coś dziwnego... Ścisła się koło serca i chciałabym być tym orłem, który unosi się nad Podolem.

Bardzo kocham moje strony rodzinne i nigdzie nie byłoby mi dobrze, tylko tutaj, choć i tutaj mi smutno. Niania mi zawsze mówi, że ja będę bardzo szczęśliwa i że tylko patrzeć, jak wyjdę za mąż za ślicznego chłopca i będę mieszkała w pałacu

— Dola stworzona na wielką panią — powiada, — bo to i rozumna, i ładna, i dobrze urodzona, i będzie miała posag.

O „wielkie państwo“ mniejsza, ale męża, ślicznego chłopca, tobym chciała mieć jak najprędzej. Pamiętam bajkę o uspionej królownie, którą odszukał w zaczarowanym lesie król. Często myślę o tej bajce i nie raz mi się zdaje, że ja śpię, a nie żyję, i że obudzę się dopiero, jak mnie taki król odzuka. Nie wiem, czy inne panienki w moim wieku już myślą o miłości, bo nie śmiem pytać Julci, ale ja myślę bardzo dużo, to mi nawet przeszkadza w nauce i w uwadze, a może dlatego także biegać nie lubię i nie nie jestem dziecinna.

Gdyby to mama wiedziała! Chowam mój dziennik pod posadzkę w naszym pokoju — jest tam jedna tafla, która odstaje — łatwo ją podnieść i kajet wsunąć.

10-go Września.

Chorowałam bardzo ciężko, miałam szkarlatynę i zapalenie mózgu. Przez cztery tygodnie leżałam w łóżku, zupełnie osobno od tamtych dzieci. Mama była dla mnie taka dobra, taka dobra! Siadywała po nocach. Ona mnie przecież bardzo kocha i to nie prawda, co powiada Ludwiczka, że najmniej z rodzeństwa, bo nawet Żuni nie mogłaby pilnować serdeczniej. Ja ją kocham nad życie i choćby była dla mnie potem sroga, nie zapomnę, że mnie doglądała. Chcę jej to nawet powiedzieć, ale nie wiem, czy się odważę.

Podobno było ze mną źle, stałam jedną nogą w grobie, jak powiada niania. Gdybym umarła, ubraliby trumnę w kwiaty, naokoło katafalku ustawiliby wszystkie doniczki z oranżeryi. Byłoby ładnie i poetycznie. Rodzice płakaliby z pewnością, a może nawet dzieci. Żal mi prawie, że nie umarłam, ale cieszę się, że żyję, bo dorosnę, będę ładna i... kochana.

Coraz częściej o tem myślę. Bo też obija mi się nieraz o uszy: „Jak Dola wyjdzie za mąż,“ „To dla Doli na wyprawę.“

Mama chowa stare koronki, srebro, kupuje płótno sztukami. Już niedługo — dwa, trzy lata i będę miała swojego własnego męża, jak mama, jak pani Wolińska. To dopiero będzie miło! Bye przedziej!

20-go Września.

Dzięki Bogu! Panna Olimpia już u nas nie będzie, bo „sobie zanadto pozwala i rządzi się, jak szara gęś“ — powiada papa. Mnie odwiozą na pensję do Warszawy — na największą, zupełnie zamkniętą, bez przychodnich, w ślicznym pałacu z osobnym ogrodem, po za miastem. Jak mi też tam będzie? Czy lepiej, niż w domu? Czy i tam będą srodzy?

1-go Listopada.

Jestem już od paru miesięcy w Instytucie Maryjskim. Tak tutaj inaczej, tak bardzo obojętne. W domu zdawało mi się zawsze, że mnie nikt nie kocha, oprócz niani, ale teraz, jak o domu pomyszę, to mi tak smutno i płakać się chce, i nieraz płaczę. Tutaj, to już nikt nikogo nie kocha, my nawet nie nazywamy się po imieniu, tylko po nazwisku i mamy numery, jak dorożki. Ja mam 218. Jest nas trzysta, klas siedm, na każdą klasę po dwie damy klasowe; nauczycielki i nauczyciele przychodzą z miasta, prawie wszyscy Rosyianie i pani przełożona także Rosyanka, wdowa po generale; widujemy ją bardzo rzadko. Zdałam do klasy piątej, a mogłabym i do szóstej, gdyby nie język rosyjski. Musiałam go się uczyć na gwałt, ale podobno mam ogromne zdolności, tak mówi nauczycielka, która mnie przygotowywała, i to chyba prawda, bo łatwo mi dosyć przychodzi i mam niezłe stopnie.

Z koleżankami z początku była okropna bieda. Wszystkie „nowe“ muszą przechodzić przez plagę dokuczania, a najdokuczliwsze są Rosyanki — mamy ich w klasie dwadzieścia pięć na czterdzieści ogółem, choć i Polki nieznośne.

Miałam ja się z pyszną. Przyczepiły się do mego nazwiska.

— Żalińska? A czego ci żal? — pytały jedna po drugiej.

— Może żalujesz papci, a może mamuski? a żal ci lalki?

— Cóż znowu, taka stara, już dawno myszki jej lalki zjadły!

To dziwna, ja zawsze chciałam być starszą i cieszyłam się, że jestem duża, a tutaj mi wstyd, bo śmieją się z takich. My, duże, siedzimy w ostatnich ławkach, jak osły. Największy szyk być małą i wyglądać dziecinnie w takiej wysokiej klasie. Ja już sobie nawet lat ujmuję — nigdy nie myślałam, że dojdę do tego, — dawniej chętnie bym sobie dodała, — tylko u nas wszyscy wiedzieli, ile mam

na prawdę. Mówię, że zaczęłam czternasty, ale mi nikt nie wierzy.

Z początku jak mnie „wyrwali,” to było mi wstyd odpowiadać przed nauczycielem i czterdziestu pannami i ze strachu zapomniałam całą lekcję. Dopiero ośmieliłam się podczas francuzkiego. Nasz professor, p. Dubois, posłyszawszy mój akcent, zdziwił się i zapytał, czy byłam wychowana w Paryżu.

Po lekcji panny nazwały mnie „Paryżanką,” ale spostrzegłam, że mi zazdroszczą i że nabrały dla mnie szacunku. Już mi nawet nie dokuczają, zwłaszcza po jednej niedzieli, kiedy przyjechała do mnie moja wujenka, śliczna i bardzo szykowna, z Angielką i córeczką. Przyjmujemy wizyty w ogromnej sali, zwanej rozmównicą. Stawiają ławki, jak w klasie, tylko bez pulpity i każda panna ma osobną dla siebie i dla swoich gości—to jest każda, którą odwiedzają, bo są i takie, o które nikt latami całymi nie zapyta. Biedaczki!

Otóż zeszłej niedzieli do mnie przyjechała wujenka, a kiedy szwajcar wywołał mnie z klasy i powiedział damie jej nazwisko i panny posłyszaly, że ja mam stosunki z „panią baronową D.,” to wszystkie spojrzaly na mnie inaczej. Na sali siedziała obok mnie Józia Dulcka i widziałam, że zamiast mówić ze swoimi gośćmi, przysłuchuje się mojej rozmowie i przygląda się mojej ślicznej wujence, jej córeczce i Angielce.

— Nie wiedziałam, że twoi rodzice mają wieś — rzekła do mnie potem, na spacerze. — Dlaczego nie mówiłaś?

— Bo to nie ciekawego, u nas w sąsiedztwie wszyscy mają wieś. A twoi rodzice — nie? Józia zarumieniła się.

— O, moi rodzice są bardzo bogaci, z pewnością bogatsi od twoich! — powiedziała takim tonem, jak gdybym ja chciała im ubliżyć.

Dopiero potem inne koleżanki, które teraz są bardzo na mnie łaskawe, objaśniły mi, że ojciec Józii jest kupcem i że ona tego się wstydzi, choć nie może ukryć, bo to firma znana całej Warszawie. Ile razy panny pokłóca się z nią, to ją pytają: po czemu funt pieprzu? Nic jej nie może wprowadzić w większą passję.

Te panny są bardzo dziwne! Każda musi się czemś chwalić. Pędzińska opowiadała mi kiedyś, że u nich w domu takie bogactwo, że wszystko się przelewa. W sieni stoją dwie kadzie pełne atramentu. Walicka mówi, że u nich podczas obiadu, nawet na codzien, lokaje chodzą w białych rękawiczkach, a jest ich tylu, że za każdym krzesłem stoi lokaj w liberyi, choćby do stołu siadało najwięcej osób. Zauważyłam, że panny, których rodzice mieszkają na wsi, są z tego bardzo dumne, a takie, które mają rodziców w mieście, mówią, że ich rodzice szukają majątku do kupienia, albo, że tylko na zimę tu przyjeżdżają, a latem jadą do swoich dóbr. Jedna chwali się przed drugą, a żadna żadnej nie wierzy. Więc po co to wszystko? Ja mileżę, bo co komu z tego przyjdzie, że moja matka była baronówną, nikt o tem tutaj nie wie. Kiedyś im powiem, jak mi będą znowu dokuczały. Żadnej z nich nie lubię, bo one nie są dobre, a już najwięcej zraziłam się do Me-

telskiej. Ona wstydzi się swojej matki, dlatego, że ubrana skromnie, prawie ubogo, że przynosi jej — nie ciastka i cukierki, jak inne panie swoim córkom, ale bułki z serem i serdelkami. Słyszałam, jak kiedyś mówiła: „Niech mama rzadziej przychodzi, albo kupi sobie nowe okrycie, bo panny śmieją się ze mnie.”

Byłam oburzona. Ale to prawda, panny wysmiewają zrudziałą szubkę pani Metelskiej. Mnie jej żal bardzo. Miałabym ochotę pocałować ją w rękę, na złość tamtym.

Czego też te panny się nie wstydzą!... Kiedyś Balska, która zna z domu Petlicką, kłócąc się z nią, powiedziała, że jej młodsza siostrzyczka niema mamki, tylko się karmi flaszką, bo mamka za dużo kosztuje.

— To nieprawda! — krzyknęła, — stać nas na mamkę, tylko doktor tak kazał. Lepiej mieć siostrzyczkę, która się karmi flaszką, niżli taką, jak twoja, co ma na imię Petronela.

Balska zaperzyła się.

— Kłamiesz, nie Petronela.

— Właśnie, że Petronela.

— Otóż nie, tylko Pelagia.

Odtąd panny nazywają Balską — Petronelą. I tak sobie wszystkie dokuczają. Ja trzymam się zdaleka. Chodzę z Natalką Łatkiewiczówną. Jesteśmy obie wysokie, tłuste i obie marzymy o miłości.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Z sali odczytów.



P. Józef Eysmond rozpoczął w dn. 23 b. m. seryę odczytów, corocznie urządzanych przez Muzeum i odczyt jego jest jakoby dobrą wróżbą dla następnych naukowych pogadanek, albowiem sala była zapełniona po brzegi.

Nazwisko prelegenta, w połączeniu z tytułem odczytu „Życie pośmiertne,” — było prawdziwie przyciągającą siłą.

Prelegent nie mówił, jak się zapewne większość słuchaczy spodziewała o życiu po zagrobem, lecz wyjaśniał przyczyny śmierci fizyologicznej w samym ustroju protoplazmy i dowodził, że śmierć rodzi się razem z życiem i razem z niem się rozwija.

W ciągu życia i rozwoju różne komórki i różne kompleksy komórek stopniowo zamierają, tracą wrażliwość na zewnętrzne wpływy, przestają odżywiać się i mnożyć. Atoli w ustroju istoty żyjącej trwają dalej i oddają jeszcze usługi niższego stopnia, oczekując chwili zupełnego zniszczenia, albo usunięcia się przyczyn, które je do stanu niemocy doprowadziły.

Prelegent przedstawił tu analogiczny proces w ustroju społeczeństwa. Istnieją w społeczeństwie kompleksy, które ginąć muszą, przyczyna ich śmierci leży w nich samych...

Jak świeca zgasnąć musi, gdy się wypali ostatnia kropla tłuszczu, tak życie gasnąć musi, gdy protoplazma do właściwych przejawów nie jest zdolna, tak i ustroje w społeczeństwie ginąć muszą, jeśli racya ich bytu ustaje.

Z kolei profesor Witold Wróblewski, wygłosił pierwszy odczyt z dziedziny geografii.

Mówił o „Parowaniu i opadach,” tj. o małym i wielkim zbiegu wód, o równowadze istniejącej pomiędzy wydajnością i przychodami wielkich zbiorowisk wód na ziemi, a słuchacze, zwłaszcza młodzież szkolna, wynieśli z odczytu korzyść prawdziwą.

P. Mieczysław Pożaryski wygłosił pierwszy z dwóch przez siebie zapowiedzianych odczytów o elektryczności, poświęcając go zjawiskom elektrycznym. Od elektryczności w społeczeństwie przeszedł do prądów elektrycznych i te będą przedmiotem odczytu drugiego nazwanego na 5 Grudnia.

Z. S.

## BŁYSKI.

Zazdrość ludzka sięgać chce po owoce twojej pracy znoonej, choć ci, co sięgają po nie, sami cofnęliby się przed jej trudnościami.

Dać szczęście przez siebie jednemu człowiekowi, jest już tak wielkim zadaniem, że może wypełnić nam całe życie.

Sądźmy ludzi z dobrych czynów, mniej wagi do wielkich przywiązując.

N. G.

## Kronika działalności kobiecej.

Zjazd albo Wiec Kobiet Polskich odbył się w Krakowie w dniach 20 — 23 Października 1905 r. w sali Rady Miejskiej. Został on zainicjowany przez redakcję znanego feministycznego pisma „Nowe Słowo,” na czele którego stoi pani Marya Turzyma, a więc ona to głównie wiec ten urządziła. Zaproszone zostały z Warszawy: p. Iza Moszczeńska, p. Reinschmidt-Kuczalska, p. dr. med. Tylicka, p. Centneszwerowa, p. Męczkowska; z Krakowa p. Bujwidowa i p. dr. Zofia Golińska-Daszyńska; ze Szląska p. d. med. Estera Golde-Stróżecka. Ona to zjazd otworzyła i przemówienia jej nadawały mu odcień partyjny. Za to pod względem technicznym był ten wiec doskonałe uorganizowany — referaty podzielone na sekcje: I. Sekcja polityczna; II. Sekcja pedagogii; III. Sekcja obyczajowa; IV. Sekcja ekonomiczna.

Pierwszy dzień obrad poświęcony polityce rozpoczęła p. Golde Stróżecka referatem „O zadaniach chwili obecnej,” potem p. Iza Moszczeńska mówiła o „Politycznym ruchu kobiet,” wreszcie p. Bujwidowa zażądała, aby kobiety na równi z mężczyznami domagały się prawa głosu przy wyborach do sejmu. Wniosek ten jednomyślnie przyjęty został.

W sekcji wychowawczej zabierały głos: p. Iza Moszczeńska, p. Bujwidowa, p. Centneszwerowa, p. Kuczalska, a wszystkie jednogłośnie żądały szkół bezwyznaniowych i zastąpienia nauki religii nauką moralności ogólnej, jednakiej dla wszystkich wyznań.

W sekcji obyczajowej najciekawsze były referaty p. Moszczeńskiej, p. Teodorczuka, p. Turzyny. Obrady trwały długo z ożywieniem i doprowadziły do zawiązania towarzystwa reformy obyczajów, czyli „Abolucjonistów,” mające na celu zwalczanie ulegalizowanego nierządu i zapobiegania handlowi żywym towarem. Piękna odezwa stowarzyszonych potępia praktykowaną dotychczas podwójną moralność i wzywa do walki ze złem „w imię podniesienia sponiewieranej godności ludzkiej,” w imię „ochrony ludzkości przed moralnym i fizycznym zwyrodnieniem.”

Najsłabiej wypadły obrady ekonomiczne, nie przedstawiono bowiem żadnego wyczerpującego referatu, żadnej organizacji robotniczej. Były to tylko słowa, słowa próżne, a podburzające przeciwko obecnemu porządkowi socjalnemu, bez żadnego programu na przyszłość. Ostatecznie najjaskrawsze były

obrad nad Poznańskiem, tchnące wielką nie-  
nawścią do katolicyzmu, a rażące niezna-  
nością faktów.

Jakkolwiek zakwestyonować można korzyść  
realną z podobnych zebrań, służących zwykle  
za pole popisu dla kilku wybitniejszych je-  
dnostek, mają one jednak może tę dobrą stro-  
nę, że budzą do życia i czynniejszego oporu  
poważne, lecz w spokoju swym nieco zaskle-  
pione stronnictwo konserwatywne.

S.

— Protest Związku kobiet.

Towarzystwo połtawskie kobiet, Ukrainek,  
należące do związku równouprawnienia kobiet,  
na posiedzeniu w dniu 19-ym b. m., powzięło  
poniżej przytoczoną uchwałę, którą wydruko-  
wało w dzienniku miejscowym „Połtawszczy-  
zna,” a odpis w przekładzie polskim nadesłało  
do redakcyi „Kuryera Warszawskiego.” Uchwa-  
ła brzmi dosłownie:

„Wraz z wydaniem manifestu d. 30-go Pa-  
ździernika powstała dla wszystkich obywateli  
państwa rossyjskiego możność omawiania swo-  
ich potrzeb. Najnagłębszą potrzebą dla miej-  
scowości państwa, które najwięcej cierpiały od  
centralistycznego rządu, w skutek ich etnogra-  
ficznej i życiowej odrębności, jest szeroki  
miejscowy samorząd na zasadach autonomii.  
Polska i Finlandya podniosły pierwsze głos  
w tej sprawie. Odpowiedzią na to było wpro-  
wadzenie stanu wojennego w kraju polskim,  
co wywołało głębokie oburzenie całego narodu  
polskiego.

Nie upatrując w deklaracyach rozmaitych  
warstw narodu polskiego dążności do nadwe-  
rżenia całości państwa rossyjskiego, my, ko-  
biety Ukrainki, członkinie Związku równoupra-  
wnienia kobiet, odczuwające tak samo cały  
ciężar centralistycznego ucisku i prześladowa-  
nia narodowości, przyjmujemy do serca gorą-  
co autonomiczne dążności Polaków i całą du-  
szą protestujemy przeciwko takiemu środkowi,  
który jest wręcz przeciwny aktowi z d. 30-go  
Października i całemu ruchowi wolnościowemu  
w Rosyji.

Stan wojenny wywołuje bezcelowy rozlew  
krwi, która ostatnimi czasy zalała całą Ros-  
syę, prowadzi za sobą karę śmierci, której nie  
może tolerować kraj cywilizowany, oraz roz-  
drażnienie ludu, sprzeciwiające się zadaniu  
uspokojenia kraju.

Dlatego też przyłączamy nasz głos do głosu  
całej myślącej i uczciwej Rosyji, która stanęła  
do walki o wyzwolenie i żądamy zniesienia  
stanu wojennego w Polsce, nie czekając na  
coraz nowe ofiary wśród naszych braci i sióstr,  
oraz dania możności utworzenia miejscowej  
autonomii.“

— Kobiety wobec prawa wyborczego.

Ustawa wyborcza, w ostatniej formie ogło-  
szona w Rosyji, powiada, że kobiety, których  
cenzus majątkowy odpowiada warunkom wy-  
borczym, mogą składać swoje głosy nie bez-  
pośrednio, lecz przez udzielanie pełnomoc-  
nictwa swoim mężom, czy synom. Przepis ten  
nie wiele odbiega od podobnych przepisów,  
obowiązujących w innych państwach europej-  
skich. Niektóre z nich nawet wyprzedza,  
w wielu bowiem krajach, aczkolwiek kultural-  
nych wysoko, kobiety wykluczone są od gło-  
sowania wyborczego.

Najszerze prawa wyborcze posiadają kobie-  
ty w Australii, gdzie mają zapewnione prawo  
wyborcze czynne i bierne, to znaczy, że mogą  
wybierać posłów do parlamentu i mogą być  
wybierane na posłów. Prawo to w Australii  
przysługuje nie tylko kobietom samodzielnym,  
ale w ogóle wszystkim pełnoletnim, posiadają-  
cym prawa obywatelskie.

W Australii kobiety stanowią żywiol postę-  
powy, liberalny, nawet radykalny, i są nieja-  
ko przeciwstawieniem do mężczyzn, którzy do-  
starczają ciału prawodawczemu przeważnie  
przedstawicieli zachowawczych.

Jakim żywiolom byłyby kobiety w Europie,

gdyby je dopuszczono do głosowania na przed-  
stawicielki narodu, przesądzać niepodobna; pró-  
bę, na małą skalę w tym kierunku daje An-  
glia, gdzie kobiety posiadają prawo udziału  
w wyborach do zarządów miejskich i rad  
szkolnych. W wyborach tych stanowią one  
żywiol zachowawczy, dlatego też w sferach  
liberalnych angielskich, reforma prawa wybor-  
czego na korzyść kobiet nie znajduje zwolen-  
ników. — Gladstone, ideał liberalizmu angielskiego  
w drugiej połowie ubiegłego wieku,  
otwarcie się wyrażał, że przyznanie kobietom  
prawa głosowania, uważa za przedwczesne.

Natomiast dzisiejszy prezes ministrów an-  
gielskich, Artur Balfour, popierał przeprowa-  
dzenie przepisu, nadającego prawo wyborcze  
wdowom i pannom, choćby tylko tym, które  
przekroczyły rok 35-y.

Głos opinii kobiecej uważa jednak w tem  
ograniczeniu obrazę uczuć i od szeregu lat ko-  
biety angielskie pracują nad uzyskaniem pra-  
wa wyborczego. Utworzyły w tym celu kil-  
ka stowarzyszeń, z których najczynniejszy  
i najruchliwszy jest „Związek swobody poli-  
tycznej,” pod przewodnictwem lady Dilke, żo-  
ny jednego z najwybitniejszych polityków an-  
gielskich doby ostatniej. „Związek” urzą-  
dza odczyty i wiece, wydaje broszury, utrzymuje  
własne pismo.

U Niemców i Francuzów sprawa nadania  
kobietom prawa wyborczego, nieraz bywa po-  
ruszana, lecz dotychczas nie doszły jeszcze do  
stanowczych wyników.

Z. S.



## Kroniczka.



— Naszemu piśmiennictwu przybyło nowe pismo tygo-  
dniowe, pod nazwą „Praca polska.” Poświęcona będzie  
ona sprawom, związanym z dolą i interesem warstw pra-  
cujących w przemyśle i handlu, rolnictwie i zawodach wy-  
zwolonych. Zakres pracy obszerny i w miarę rozwoju pi-  
sma rozszerzać się będzie w duchu narodowym, kierując  
się zasadą, iż „dobro narodu przed dobrem warstw po-  
szczególnych stawić należy.” Możliwe jeno na tem miej-  
scu sceptyczna uczynić uwagę, iż praca polska ściśle wzię-  
wszy, była przez czas długi w kolebce i u obcych narodów  
wzorów dla siebie szukać musiała. Może więc zadaniem  
nowego pisma będzie nawoływanie do rozwoju tej pracy,  
do jej umiłowania we wszelkich dziedzinach, do jej pełnie-  
nia z umiejętnością, wprawą i zapalem. Do takiego pojęcia  
pracy, w ogóle, a polskiej w szczególności, nakłaniać zawsze  
należy. Podnieść musimy w piśmie na uwagę zasługują-  
cy dział ech prowincjonalnych z Zagłębia Dąbrowskiego,  
z Sosnowca i t. p., skorowidz przemysłowo-handlowy  
z naszych miast i miasteczek na prowincyi, z uwzględnie-  
niem sprawy rzemiosł, higieny, gospodarstwa, szkolni-  
ctwa, stowarzyszeń zawodowych i kulturalnych, instytucji  
współdzielczych. W dziale naukowym i literackim na  
pierwszem miejscu zaznaczamy powieść naszego byłego  
kronikarza i feljetonisty, Kazimierza Głińskiego p. t. „Bez  
herbu,” dalej życiorysy ludzi zasłużonych, jak Józefa Su-  
pińskiego i Maxymiliana Jackowskiego, ocenę dzieł lite-  
rackich i naukowych, kronikę bieżącą, kronikę ulepszeń  
i wynalazków i t. d. Sprawy czystości naszego języka  
poświęcono też specjalną rubrykę, wytykając utarte i za-  
korzenione błędy.

Numery drugi i trzeci lepsze sprawiają wrażenie i kon-  
sekwentniej tłómaczą program zamierzonej działalności,  
w pierwszym bowiem zamieszczony artykuł „Z gospodarki  
japońskiej,” — Działa japońskie i opisy gry amerykańskiej,  
zbyt mało mają wspólnego z pracą polską i znów chyba  
jedynie jako wzór do naśladowania zacytowane zostały.  
Pismo jest ilustrowane, wydawnictwo staranne.

— Nowo-powstające Towarzystwo pomocy naukowych,  
pod nazwą „Urania,” o którym na tem miejscu niedawno  
wspominaliśmy, ogłasza obecnie konkurs na znak firmo-  
wy, jak najbardziej uproszczony, z powyższym napisem.  
Warunki następujące: a) aby rysunek wykonany był na  
białym papierze kredą lub plamą czarną bez półtonów; b)  
aby ze względów reprodukcji miał co najmniej 15 ctm.  
u podstawy. Nagroda za najlepszy rysunek rubli 25.

Termin nadsyłania prac do dnia 16-go Grudnia pod adre-  
sem kancelaryi Towarzystwa Artystycznego (Karowa, 18).

Sędziami konkursowymi będą: pp. R. Kornilowicz, M.  
Heilpern, T. Jaroszyński, S. Sawiczewski, A. Kędziński.  
A. Bułowski i S. Popowski. Rysunek nagrodzony staje  
się własnością „Uranii.“

— W Warszawie poczyniono przedwstępne przygoto-  
wania w celu zorganizowania towarzystwa gimnastyczne-  
go pod nazwą „Sokoly.” Ma to być stowarzyszenie na  
wzór istniejących i szeroko rozgalezionych w Galicyi  
i Czechach. Organizacya zamierzona jest jak najszersze  
i najliczniejsza, bezpartyjna, demokratyczna i na tle naro-  
dowym. Przyjmowani będą członkowie bez różnicy płci  
i wyznania; warunki materyalne mają być dla wszystkich  
dostępne. Projektowany jest dział niewieści „Sokolic.” Do  
komisyyi mającej wypracować projekt ustawy, weszli pp.  
K. Malczewski, St. Patek, Osmólski, d-r Trzeński, Troja-  
nowicz, Koszutski, E. Dziewulski, C. Janowski, B. Ol-  
szewski, Graff, Pieńkowski, Kuczalska, d-r Skowroński  
i wielu, wielu innych.

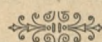


## ODPOWIEDZI.

— Pani W. G. — „Vegetabile Milch“ Lahmana dostać  
można w Warszawie w składach aptecznych S. Spiesa.

Linoleum jako przykrycie posadzki w pokojach jest  
rzeczą szpetną, nie atoli nie przeszkadza ułożyć na niem  
dywany, dobór zaś barw zależy od ogólnego tonu umebło-  
wania.

W rozmowie z osobą utytułowaną, zwyczaj, przyjęty  
w eleganckim świecie zaleca tylko od czasu do czasu, np.  
przy rozpoczęciu dłuższego okresu, przypomnieć tytuł, na-  
stępnie zaś posługiwać się zwykłym: panie, pani.



## Nadesłane nowości.

Książki dla wszystkich.

(Wydawnictwo M. Arcta).

B. Björnson: «Bankructwo,» przekład Ad. Strzeleckiego.

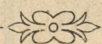
Kalidasa: «Sakuntala,» przekład Adolfa Strzeleckiego.

Brieux: «Przyjaciółka,» sztuka w 4-ach aktach, przekład  
Tadeusza Jaroszyńskiego.

A. Steenbuch: «Małe dramaty,» przekład Adolfa Strze-  
leckiego.

D-r F. Levillain: «Hygiena ludzi nerwowych,» Część  
I, II, III i IV.

Gabryel Tolwiński: «O porach roku.»



## Od Administracyi.

Celem uniknięcia zwłoki w przesłaniu na-  
szego pisma, upraszamy Szan. Prenumerator-  
ki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwar-  
tał następny.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknię-  
cia wszelkich nieporozumień, najlepiej wyse-  
łać listy pieniężne bezpośrednio do Admini-  
stracyi „Bluszczu“ (Nowy-Świat, 41).

## Treść numeru:

Pamięci Adama Mickiewicza w pięćdziesiąt rocznicę Je-  
go zgonu, przez Zofię Seidlerową. — Adam (wiersz), przez  
Or—Ota. — 26. XI. 1905 (wiersz), przez Artura Glisczyń-  
skiego. — Sąd Boży, obrazek z XII-go stulecia, przez Teo-  
dora Jeske-Choińskiego (ciąg dalszy). — Mikołaj Rej z Na-  
głowic (w pięćsetną rocznicę urodzin), przez E. Jerlicza  
(ciąg dalszy). — Serce, odczyt d-ra Henryka Nusbauma  
(ciąg dalszy). — O szczęście dziecka: VIII. Trudy, przykro-  
ści, ciernie, przez Jadwigę z Z. Stokową. — Z pobytu na  
dalekim szlaku, przez A. Tripplinównę (ciąg dalszy). — Dla  
uczającej się młodzieży. — Płomyk (urywek z większej cało-  
ści), przez Eugenję Żmijewską (ciąg dalszy). — Z sali od-  
czytów, przez Z. S. — Błyski. — Kronika działalności kobie-  
cej, przez Z. S. — Kroniczka. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 4-ty powieści  
Ryszarda Voss'a p. t. „Willa Falconieri,“ w przekładzie  
Maryi Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 25). — Przepisy  
kuchenne, oraz Tablica krojów.

# PASTYLKI od ZGAGI

i na polepsz. trawienia

wyrobia apteka **Ap. Kowalskiego**, Graniczna 10, bez dod. klejów, lecz przez sprasowanie sody z pepsyną. C. 40 k. Sprzedaż w składach aptecz. i aptekach. Prawdziwe i bez kleju tylko z 3-kolor. podpis. **Wl. Russyana i firmą Ap. K-go.**

## Woda Kolońska

Centr. Labor. Chemicz. ruguje znaną zagraniczną wodę Kolońską, gdyż w dobroci nie ustępuje jej, a w cenie tańsza.

Poleca perfumerya i skład apteczny

**A. CZEKAYA**, Marszałkowska № 108 róg Chmielnej.

PUDER

## DELICIA

w pud. po 15, 30 i 50 kop.

Centralne Laboratorium Chem.

(Czekay i Krysiewicz) w Warszawie.

Najmielszy, przylegający, niewidoczny.

Sprzedaż w składach aptecznych i perfumeryach.

Księgarnia **J. Fiszer**, Nowy-Świat 9 w Warszawie—zaleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych, bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

**Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz)** po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.

**Rusko-Niemiecki** po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.

**Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20;** kurs II-gi rb. 3.20.

**Gramatyka Polsko-Francuska** kop. 1.20.

**Wypisy Francuskie** kop. 80.

**Polsko-Angielski kurs I-szy** kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.

**Amerykański Przewodnik** kop. 50, mały kop. 5.

**Polsko-Ruski Elementarz** po kop. 5, 12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—kurs II-gi kop. 1.80.

Nakład autora **Złota 6**, Warszawa.

Milosierdziu naszych czytelników i czytelniczek polecamy byłego nauczyciela szkół rządowych, pozbawionego pracy, chorego wycieńczonego, bez środków do życia.  
Adres: Nowy-Świat № 62 m. 28.

## M<sup>me</sup> Mercère

Francuska szkoła kroju i szycia

Nowy Świat 42.

Krój paryski bez rysowania form.

Kursy wieczorne dla pracujących po niższej cenie. Patenty **Cechowe**. PENSYONAT.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

## WASILEWSKIEGO,

Warszawa, Marszałkowska 123,

poleca: nauczycielki, bony, freblówki; sprowadza cudzoziemki.

## Dla panien

uczęszczających do szkół, sklepów i magazynów są miejsca w drugim „Ognisku domowym” Mazowiecka 11. Całe utrzymanie rb. 10—12 miesięcznie. W Czasomem Schronieniu, młode osoby poszukujące pracy, znajdują pomieszczenie bezpłatnie.

## Prasuję

bieliznę męską bez szkodliwych dodatków.  
Warecka № 9 m. 8.

## Aromatyczne PERFECT Mydło w proszku.

Do prania bielizny, mycia i szorowania wszelkich przedmiotów.

Znakomite i higieniczne do kąpieli.

Żądać we wszystkich Składach Aptecznych i Mydlarniach.

## TYLKO RUBLA

w Warszawie, a **rb. 1 kop. 25** na prowincyi i w Cesarstwie wynosi prenumerata kwartalna tygodnika ilustrowanego

## „NAOKOŁO ŚWIATA”

Jedynе pismo polskie podróźnicze

wychodzące od r. 1902.

Prenumeratę przyjmują księgarnie, biura dzienników, oraz Redakcja Elekoralna № 18, Telefonu № 137, w Warszawie.

Wydawca: **Piotr Laskauer**.—Redaktor: **Maryan Gawalewicz**.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz”

**KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.**

## „Kobieta Współczesna”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracyi „Bluszczu.”

**Prenumeratorki „BLUSZCZU”** płacą za powyższe dzieło

**tylko rb. 1.**

Przesyłka pocztowa kop. 40.

**Cena księgarska rb. 3.**

**Józef Jankowski.**

## ZWROTKI

Wydawn. **GEBETHNERA i WOLFFA**

Na wytwornym angielskim papierze z portretem autora



**Cena 75 kop.**

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu” nie ponoszą kosztów przesyłki.

## Szkoła Artystyczna dla Kobiet „A. CONTI”

ulica Wielka № 23 (sóg Wspólnej).

Kierownicy artyści: Rysunki i Malarstwo—**A. Austen i E. Grajner**; Rzeźba—**M. Gerson-Dąbrowska i Wl. de Turquier**; Sztuka stosowana—**L. Łempicka, B. Maruszewski i A. Porczyński**; Rys. techniczne—**A. Porczyński**; Rys. wieczorne—**L. Łempicka i B. Wiśniewski**; Kurs dla dzieci (chłopców i dziewczynek)—**M. Gerson-Dąbrowska i L. Łempicka**. Zapisy od 1-go, a lekcje od 15-go Września od g. 10—2 i og 5—7. Programy na żądanie.

Towarzystwo Akcyjne

## „Gazety Polskiej”

z kapitałem 250,000 rubli (1000 akcji po 250 rubli).

W dniu 9 czerwca r. b. uzyskała zatwierdzenie Najwyższe ustawa Towarzystwa Akcyjnego „Gazety Polskiej” pod nazwą:

**TOWARZYSTWO AKCYJNE**

zakładów i wydawnictw

## „GAZETY POLSKIEJ”

w Warszawie,

z kapitałem 250,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcji, każda po 250 rubli.

Założycielem Towarzystwa jest obecny redaktor i wydawca „Gazety Polskiej”, **Jan Gadomski**.

Według § 1 Ustawy. Towarzystwo, obok innych praw, jakie mu przysługują, ma prawo posiadać i wydawać wszelkiego rodzaju wydawnictwa, a w pierwszym rzędzie te, które są dziś walsnością **Jana Gadomskiego**, t. j. „Gazetę Polską” i „Bibliotekę Dziel Wyborowych” Dla nabycia też i prowadzenia tych wydawnictw, łącznie z drukarnią, a względnie dla prowadzenia innych wydawnictw, dla nabycia dla swoich zakładów osobnego domu i t. p. zakłada się to Towarzystwo Akcyjne „Gazety Polskiej”.

Nasze Towarzystwo Akcyjne dla wydawania pisma codziennego jest pierwszym tego rodzaju w Państwie.

Zapisy na akcje Towarzystwa Akcyjnego zakł. i wyd. „GAZETY POLSKIEJ”, przyjmuje założyciel Towarzystwa, **Jan Gadomski**, w lokalu Redakcyi „GAZETY POLSKIEJ” w Warszawie przy ul. Wareckiej 14.

Zapisy mogą być nadsyłane pocztą.

Ustawę każdy otrzymać może na żądanie.

Założyciel Towarzystwa Akcyjnego zakładów i wydawnictw „Gazety Polskiej” w Warszawie

**Jan Gadomski.**

Druk **Piotra Laskauera i S-ki**, Nowy-Świat 41.

## Wzory ubiorów i robót do Nr. 49.

## № 1. Wieczorowa suknia dla młodej osoby.

Materyał: biała albo bardzo jasna, zielona *crépe de Chine*. Spódnica marszczona, sporządzona na oddzielnym spodzie z taffetiny, w dole rozszyta falowato ułożona, koronkową wstawką. Bluzkowy stanik cały namarszczony i obciągnięty, przybiera w około wycięcia, w lekkich zębach ułożona wstawka i falbana z koronki, tworząca rodzaj berty. Stan obcisła wysoki, marszczony pasek z materyi Liberty w tonie blade lila, skrzyżowany na przodzie i do stanika rozetkami przypięty.

## № 2. Kostium z powłóczystą spódnicą.

Kostium z ciemno zielonego sukna przybierają: sutasz w tonie sukni, przerabiany złotawą nitką, sobolowe oszycie kołnierzyka i mankietów i mały brązowy, aksamitny kołnierzyk, pokryty białym haftem. Nieco powłóczystą, z boku zapiętą spódnicę przybiera na 8 ctm. od dołu, szlak zakładczek, ujęty z obu stron w szeregi zakładek. Na bokach, na 25 ctm. od góry, spódnica zastębnowana w 12 drobniutkich zakładczek, przytrzymanych długimi patkami. Bluzkowy stanik na ramionach i w stanie przymarszczony, naszyty sutaszem, przybierają wyłogi, złożone w kształcie żabotu. Mały aksamitny kołnierzyk hattowany białym jedwabiem, dopełnia kołnierzyk z futra i pod spodem wysoki, stojący z plisowanej *crépe chiffon*. Rękawy, umiarkowanie szerokie, zastębnowane na połowie długości w poprzeczne zakładki, zakończone futrzane mankiety.

№ 1. Wieczorowa suknia dla młodej osoby.

Potrzeba 6½ mtr. sukna podw. szer., 15 ctm. aksamitu, 18 mtr. sutaszu, 15 ctm. *crépe chiffon*.

## № 3. Kostium z luźnym paltotem.

Kostium z sukna w modnym, ciemnym kolorze składa się z długiej, szerokiej spódnicy, ułożonej po bokach z przodu i z tyłu w szerokie kontrafaldy i z luźnego, półdługiego okrycia przybranego wąską, białą sukienką kamizelką i takimiż małymi wyłogami. Kostium, pod paltocikiem dopełnia flanelowa lub jedwabna bluzka. Spódnicę przybierają dwie plisy w znacznym odstępnie nastębnowane, na bokach w górę podniesione. Luźne okrycie, skrojone kolisto, wszyte w gładki, bardzo nisko schodzący karczerek. Małe wyłogi przy karczku i małe przy stojącym kołnierzyku wykonane podwójnie, z sukna białego, pokrytego haftem i z materyału kostiumu. Rękawy do łokcia bardzo szerokie, ułożone w fałdy, przybrane przy szwie zewnętrznym podwójnym, wyłożeniem. Na przodach okrycia kieszonki. Podszewka jasna, strojna jedwabna.

Potrzeba: 8½ mtr. sukna podw. szer., ½ mtr. sukna kremowego.

## № 4. Okrycie i kapelusz dla dziewczynki od 8—10 lat. (Patrz ryc. 10). (Krój odw. str. tabl. Fig. 89—91).

Okrycie z piaskowego sukna, sporządzone na podwałowanej podszewce, lub na moltonie i półjedwabnym materyale, przybierają: mankiety i kołnierzyk z białego, ażur haftowanego sukna, które też zastąpić można grubym płótnem. Przodki, złożone w kontrafalde, z jednej sztuki, od boków okrycie wszyte w krótki kaftanik, przymocowany 4 ctm. szeroka, stębnowana plisa.

Kapelusz do którego krój podaje Fig. 91, sporządzony p sukna białego lub z materyału okrycia, przybiera ślicznie marszczone podszycie z materyi Liberty i z teje materyi końce do wiązania i karkarda.



№ 2. Kostium z powłóczystą spódnicą.

№ 3. Kostium z luźnym paltotem.

№ 5. Paltocik i futrzana czapeczka dla chłopczyka od 6-8 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 92-98).

Paltocik z ciemno granatowego sukna, sporządzony na podwatowanej i pikowanej podszewce. Zapięty na trzy szmuklerskie, wydane potrzeby. Przdony po bokach opatrzone wszytymi w środek kieszonkami. Kołnierz i czapeczka z imitacji seal-skinów. Krój dna do czapeczki podaje Fig. 98.

№ 8. Bluzka z ciemnego aksamitu, przybrana wypustkami z materji. (Krój odw. str. tabl. Fig. 105-108).

Bluzkę z granatowego lub zielonego aksamitu, ułożoną z przodu i na plecach w płaskie fałdy, przybierają wypustki z materji w paski kremowe i w tonie aksamitu. Wypustki otaczają potrójny karczek w zab z przodu ścięty, wykończają środkową kontrafałdę, kryjącą zapięcie, oraz mankiety i stojący, z tyłu zapięty kołnierz. Obok wypustki staranna stebnowka wykończa całość. Bawecikowy, marszczony pasek z materiału bluzki.

№ 9. Bluzka, przybrana gipiurowym karczkiem.

Bluzkę z dropiatej materji w ciemnym tonie, oprócz gipiurowego karczka, przybierają stebnowane pliski z materiału, zakończone w kształcie patek i przymocowane złotymi guzickami. Poprzeczne i podłużne pliski ozdabiają rękawy, okrągło ułożone otaczają karczek, wykończają stojący kołnierz i pasek z aksamitu w dobranym kolorze. Z tegoż aksamitu wążka wypustka przystraja gipiurowy karczek.

Potrzeba: 2 mtr. mater. podw. szer., 3/4 mtr. gipiurowego materiału, 40 ctm. ukosu aksamitnego, 50 guzików.

№ 11. Paltocik z karakulów z sukienką kamizelką.

Paltocik z pięknie dobranych karakulów na jedwabnej podszewce, przepikowanej na puchu, z długimi odcięciami połami, ożywia kamizelka z blade niebieskiego, zielonego albo białego sukna, zahaftowana jedwabiami do cieniu. Rękawy dosyć wąskie, przy ramieniu fałdowane. Mufka duża, okrągła.

№ 13. Bluzka dla panienki od 15-17 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 109-113).

Bluzkę z jasnej albo białej materji pongé, wykończoną na wyciętej nisko podszewce, przybiera duży, w zab ścięty karczek, rozszywany wstawkami, inkrustowanymi gipiurowymi rozetkami i ozdobiony mereszka. Bluzka z przodu i z tyłu wykonana jednakowo, przy karczku zastępowana w grupie dłuższych i krótszych zakładeczek, na plecach obciągnięta, na przodzie lekko wyrzucana. Rękawy na podszewce, w szwie wewnętrznym przemarszczone, zakończone fałbaną, oszycie wstawką i koronką.

№ 14. Hałka dla młodej panienki. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 19-22).

Praktyczną hałkę dla dziewczynki, sporządzoną z jasnego kaszmiru lub grubej alpagi, zakończą wysoka kolistą fałbaną, oszyta prosta, fałbanka marszczona, zastępowana w dole w zakładki i naszyta czarna aksamitką. Dwie takie same fałbany, naszyte na brycie tylnym, nadają hałce odpowiednią suchość i sztywność.

№ 18. Sukienka dla dziewczynki od 1-2 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 33-38).

Sukienkę z granatowego, albo ponsowego foulé przybierają ozdobne ścięgi i stebnowka, wyszyte grubym, białym jedwabiem. Luźna, prosta sukienka, przestębnowana w dole kilkakrotnie, zmarszczona i wszyta w prosty karczek, z dobnym wyszytymi plisami, z których dwie, wykonane oddzielnie, tworzą rodzaj szeleczek. Mankiet przy bufastym, koszulowym rękawku odpowiedni, jak również i stojący kołnierzyczek.

№ 6. Kapelusz z jasnego filcu dla młodej osoby.



№ 7. Kapelusz z ciemnego filcu dla młodej osoby.



№ 11. Paltocik z karakulów z sukienką kamizelką.



№ 10. Tył kapelusza do ryc. 4.



№ 19. Spódniczka od 8 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 114-118).

Ubranie dla dziewczynki, zreczne i praktyczne składa się z granatowego szwego, odpowiednio szerokiej marszczonej bluzki połączonej ze spódniczką z materiału spódniczki szewce i stebnowana. Pasek z materiału, Guziki perłowe. Bluzka w prosty karczek, zakawów łączy się z mankiety wąskie, zakończone mankiety.



№ 20. Skromny szlafroczek dla panienki.

№ 21. Wątroba z stałofek.



№ 22. Zimowe okrycie na pluszu, z futrzanym kołnierzem.

Szlafroczek z wełnianego materiału, w dowolnie wybranym kolorze, przybierają mankiety i wykładany kołnierz z aksamitu w kratę, ujęte w stebnowane pliski z materiału. Szlafroczek, z przodu przy szyi zmarszczony, na plecach, od stanu złożony w krytą fałdę, sporządzony na podszewce w kształcie krótkiego, wygodnego kaftanika. Zapięcie kryte na zatraski. Rękawy koszulowe, dość szerokie. Całość wykończona staranną stebnowką.

№ 22. Zimowe okrycie na pluszu, z futrzanym kołnierzem.

Okrycie z sukna w jasno brązowym kolorze, przybiera plisa z tegoż materiału, wycięta w arabeski i gęsto przestębnowana, przybranie to okala okrycie na 30 do 40 ctm. powyżej dolnego brzożka, zakończy karczek i przybiera rękawy. Podszyty okrycie stanowi brązowy, ciemny plusz, w rękawach zaś lekko na wacie przepikowany brązowy atlas. Szalowy kołnierz z ciemnego, brązowego futra i spiecia z brozowego, jedwabnego sznura, dopełnia całości.

Potrzeba: 4 mtr. mat. podw. szer., 6 mtr. pluszu. 1/2 mtr. mater. w rękawy.

№ 23. Sukienka dla dziewczynki od 9-12 lat.

Sukienka z granatowego kaszmiru składa się ze spódniczki, ukladanej w podwójne kontrafałdy i z długiej bluzy, połączonych razem przy pomocy stanika z podszewki. Przybranie stanowi: biała taśma podłożona czerwonymi jedwabnimi wypustkami i powyżej teje czerwonym i białym jedwabiem, wyhaftowane kółka i punkciki. Wycięcie bluzki, na ramionach przymarszczona i chusteczkowo obciągnięta, wypełnia marszczony papierśnik z materiału, wszyty w stojący kołnierz, odpowiednio haftem i taśmą przybranym. Rękawy, od łokcia zwężone, zastępowane w poprzeczne zakładki, przy rękę przybrane mankiety, tak samo sporządzonym jak kołnierz. Pasek z ponsowej skóry, zapięty na złożoną klamrę.

№ 12. Kołnierz z cienkiej pasmanteryi.



Potrzeba: 3 1/2 mtr. materiału podw. szerok., 1/2 mtr. czerwonej materji surrah, 5 mtr. taśmy.

Obiad na niedzielę.

- Barszcz czysty z pasztecikami w drożdżowym cieście.
- Łosoś z wody z sosem hollenderskim.
- Roastbeef z kartofelkami.
- Kalafiory z masłem.
- Indyk z kasztanami.
- Salata, kompoty.
- Legumina czekoladowa.

- Barszcz z pierogiem w drożdżowym cieście.
- Wątróbka duszona ze śmietaną.
- Gęś z jabłkami i borówkami.
- Kasztany przecierane z bitą śmietanką.

№ 8. Bluzka z ciemnego aksamitu, przybrana wypustkami z materji. (Krój odw. str. tabl. Fig. 105-108).



№ 9. Bluzka, przybrana gipiurowym karczkiem.



№ 13. Bluzka dla panienki od 15-17 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 109-113).



№ 23. Sukienka dla dziewczynki od 9-12 lat.

№ 24. Suknia, przybrana aksamitem i taśmami.

№ 4. Okrycie i kapelusz dla dziewczynki od 8-10 lat. (Patrz ryc. 10). (Krój odw. str. tabl. Fig. 89-91).

№ 5. Paltocik i futrzana czapeczka dla chłopczyka od 6-8 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 92-98).



№ 14, 15, 16 i 17. Spódniczka dla dziewczynki od 8-10 lat. Kaftanik i fartuszek dla dwuletniego dziecka. Kaftaniczek dla małego dziecka. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 19-22).

№ 18. Sukienka dla dziewczynki od 1-2 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 33-38).

№ 19. Spódniczka i bluzka dla dziewczynki od 8-10 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 114-118).

